



E-BOOK EKOLOGIE KULTURY IV EKOLOGIE MIEJSKIE

Zofia Smolarska, Marcin Gawroński, Magdalena Gatkiewicz,
Kinga Zinowiec-Cieplik, Kasper Jakubowski

EKOLOGIE KULTURY IV EKOLOGIE MIEJSKIE

Autorzy i autorki: Zofia Smolarska, Marcin Gawroński, Magdalena Gałkiewicz, Kinga Zinowiec-Cieplik, Kasper Jakubowski

Redakcja: Małgorzata Jabłońska

Pomysł i koordynacja: Janusz Adam Biedrzycki

Publikacja powstała w ramach programu Przestrzenie Sztuki Łódź – Teatr 2025.

Organizator: Fabryka Sztuki w Łodzi

Współorganizatorzy: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Urząd Miasta Łodzi, Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego Partner: Teatr CHOREA Łódź, 2025

Publikacja jest dostępna na licencji Creative Commons – Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe. Pełna treść licencji jest dostępna na stronie internetowej: <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/legalcode.pl>.

Zezwala się na dowolne wykorzystywanie treści publikacji pod warunkiem wskazania autorów i podania informacji o licencji.

Publikacja jest dostępna w sieci na stronach: <http://www.fabrykaszuki.org/> <https://www.chorea.com.pl/>

Zofia Smolarska: Witam Państwa serdecznie. Dzisiejsze spotkanie będzie miało charakter wspólnego namysłu nad kwestiami ekologii w środowisku miejskim. Dyskusja będzie toczyć się bez podziału na część panelową i rozmowę z publicznością. Zachęcamy, żeby zabierać głos, kiedy tylko poczują Państwo taką potrzebę. Pomysłodawcą i kuratorem cyklu spotkań pod tytułem Ekologie Kultury jest Janusz Adam Biedrzycki, a nasi dzisiejsi goście to: Marcin Gawroński – dyrektor działu budownictwa ekologicznego w firmie Sweco Polska, Magdalena Gałkiewicz – eko-feministka, przewodnicząca łódzkiego Koła Partii Zieloni. Zasiada w łódzkiej Radzie Miasta, gdzie przewodniczy Komisji Ochrony Środowiska. Kinga Zinowiec-Cieplik – architektka krajobrazu specjalizująca się w projektowaniu przestrzeni rekreacyjnych o walorach społecznych i środowiskowych. Kasper Jakubowski – edukator ekologiczny, architekt krajobrazu i popularyzator czwartej przyrody, który projektuje i sadzi w całej Polsce mikro-lasy społecznościowe metodą Miyawaki.

Metoda Miyawaki to technika tworzenia gęstych, rodzimych mikrolasów na małych powierzchniach, opracowana przez japońskiego botanika Akirę Miyawakiego. Polega na sadzeniu dużej liczby gatunków drzew i krzewów na niewielkim obszarze, co przyspiesza wzrost i rozwój ekosystemu. Mikrolasy Miyawaki charakteryzują się wysoką bioróżnorodnością i mogą być samowystarczalne po kilku latach.

Zacznijmy od tego, co jako pierwsze przychodzi na myśl, kiedy mowa o ekologii w mieście, czyli od miejskiej zieleni. Lubimy narzekać, że w naszych miastach jest za mało drzew i terenów zielonych, ale nie zawsze wiemy, jakie istotne trudności stoją na przeszkodzie, aby chronić zieleń czy sadzić drzewa, i niekoniecznie jest to niechęć władarzy. Podczas poprzedniego spotkania z cyklu „Ekologie kultury” jeden z jego uczestników prowokacyjnie zapytał, dlaczego zamiast tylko gadać, nie weźmiemy się do roboty i nie usuniemy kostki brukowej wokół Fabryki Sztuki, żeby w jej miejsce zasadzić drzewa. Okazało się, że nie jest to takie proste, ponieważ obowiązuje nas ustawa o ochronie zabytków, która wymusza zachowanie historycznego kształtu danej przestrzeni. Dotykamy w ten sposób problemu sprzecznych interesów czy konkurencyjnych wartości: kulturowych i ekologiczno-klimatycznych. Inny konflikt wartości występuje między ekologią a potrzebami społecznymi, np. mieszkaniowymi. Potrzebujemy dogęszczać tkankę miejską, budując mieszkania (najlepiej komunalne i w przystępnej cenie) i zapobiegając w ten sposób rozlewaniu się miast. Tylko gdzie te mieszkania budować, jak nie na nierzadko cennych przyrodniczo nieużytkach miejskich? Porozmawiajmy o tym z perspektywy waszego doświadczenia i na przykładzie miast, w których działacie i w których sami żyjecie. Jak dzisiaj wygląda droga projektantów i urzędników do zielonego miasta?



dr Zofia Smolarska – teatrołożka, badaczka społeczna, autorka książek *Ekologie teatru. Analiza relacyjna instytucji teatru z perspektywy rzemieślników i rzemieślniczek teatralnych* (2025) oraz *Rimini Protokoll. Ślepe uliczki teatru partycypacyjnego* (2017). Zagadnienia ekologii kultury wykladała na Akademii Teatralnej w Warszawie oraz na Uniwersytecie Jagiellońskim. Obecnie adiunktka w Laboratorium Badań Naukoznawczych (w ramach EUROREG) na Uniwersytecie Warszawskim, związana również z Instytutem Sztuki PAN. Stypendystka m.st. Warszawy, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Institut für die Wissenschaften vom Menschen w Wiedniu. Jest zaangażowana w działania upowszechniające wiedzę na temat roli instytucji i ludzi kultury w zapobieganiu zmianom klimatu, współpracując m.in. z Teatrem Chorea.

Kinga Zinowiec-Cieplik: To jest temat rzeka, do którego można podchodzić z różnych stron. Poruszyłeś kilka wątków – chcemy więcej zieleni, ale mamy trudność ze wskazaniem miejsca, gdzie miałyby się znaleźć, bo przecież musimy budować domy i miejsca schronienia. Jak przy tym układać się z przyrodą? Temat jest trudny, ponieważ miasta faktycznie się rozbudowują. Powinniśmy zatem miasta raczej dogęszczać niż rozszerzać. Oczywiście pojawia się pytanie, jak dogęszczać i jaki stopień dogęszczania jest dopuszczalny. Zdarzają się sytuacje, nagłaśniane w mediach, dogęszczania patologicznego. To jest kwestia prawa – na co pozwala prawo budowlane oraz prawo lokalne, czyli plany zagospodarowania. Ale nie ma co się dziwić – choć ja, broń Boże, nie chcę wyjść na obrończynię deweloperów – że deweloper chce zarobić, więc będzie się zachowywał w sposób, który pozwoli mu uzyskać korzyści finansowe w granicach prawa. Obecnie w dokumentach, które dostaje inwestor, jest zaznaczone, że na danym terenie ma być powierzchnia biologicznie czynna. To jest wskaźnik urbanistyczny, który mówi, ile powierzchni terenu ma być zajęte przez zieleni. Jest on wyrażony procentowo – od bardzo małych wartości po 40%. Ale te wytyczne nie wskazują, **jak** ta zieleni ma wyglądać; i tu się zaczyna problem. W gronie architektów i architektów krajobrazu dyskutujemy już od kilku lat, jak zapewnić wyższą jakość zieleni. Obecnie inwestor może de facto zrobić trawnik i to wystarczy, by spełnić obowiązek wyznaczenia powierzchni biologicznie czynnej. Oczywiście lepiej, że ten trawnik jest, niż gdyby miało go w ogóle nie być, ale to nie jest przyroda, która będzie poprawnie funkcjonowała w kategoriach usług ekosystemowych.

Usługi ekosystemowe – to korzyści, jakie ludzie czerpią bezpośrednio lub pośrednio z ekosystemów. Mogą to być dobra materialne, jak żywność czy surowce, ale także usługi regulujące, np. oczyszczanie powietrza czy klimat, a także usługi kulturowe, jak walory rekreacyjne.

Ja się bardzo cieszę, że idea usług ekosystemowych dotarła już do dyskusji publicznej, ponieważ jest to wytrych, pozwalający przekonać nieprzekonanych do tego, że przyroda jest aktywnym miasta o dużej wartości. Na ogół deweloperzy myślą, że można wyciąć drzewo, jeśli w to miejsce posadzi się coś innego. Kiedy umiemy przeliczyć, ile dane drzewo daje tlenu, cienia i schładzania, ile pochłania pyłów, a do tego o ile jeszcze poprawia retencję wody, to okazuje się, że to nie jest już tylko drzewo, ale element większej infrastruktury, która pełni usługi dla mieszkańców miast.



Jest wiele osób, do których nie przemawiają gromadzące nas tutaj hasła: przyroda jest ważna, potrzebna, wymierają gatunki. To są zmartwienia przyrodników i aktywistów. Przeciętny mieszkaniec chce żyć wygodnie, a deweloper chce zarobić. Jeśli jednak wobec tych osób wysuniemy argument, że na danej działce można zarobić, bo przyroda podnosi jej wartość, kiedy zarządcy terenów miejskich mają świadomość tej wartości, wtedy dyskusja wchodzi na zupełnie inne tory. Dzięki temu postrzeganie zieleni zaczyna się zmieniać także u deweloperów i inwestorów. W zasadzie od kilkunastu lat zauważam, że zielenią można sprzedać wszystko i każdy deweloper chce reklamować swoją inwestycję hasłem: „przy parku” czy „w brzozowym lasku”, nawet jeśli rośnie tam jedna brzoza. Inwestorzy doskonale zdają sobie sprawę, że zieleń jest rewelacyjnym atutem marketingowym. Więc faktycznie jest wiele sprzeczności niełatwych do pogodzenia. W tej chwili jednak ważniejsza dyskusja dotyczy tego, jak zapewnić wysoką jakość przyrody w mieście – zamiast monokultur, tereny zróżnicowane gatunkowo i ciągłość terenów zielonych zamiast wysp w morzu betonu, bo wiemy, że przyroda lepiej radzi sobie w systemie naczyń połączonych. Z tym wiąże się oczywiście obieg wody, bez której przyroda nie będzie funkcjonować. Wiemy, że mamy teraz problem z wodą, która nam spada na głowę w nadmiarze i zupełnie inny z wodą, której nie mamy wystarczająco dużo pod ziemią. Jest to złożony system. Większość projektantów, architektów krajobrazu, ekologów, przyrodników, geografów, urbanistów w zasadzie wie, co należy zrobić i ma ogromny problem z tym, jak to zrobić. To jest bardzo trudne pytanie, a ja mam raczej niepopularną odpowiedź. Moim zdaniem podstawowym elementem tej układanki jest stworzenie warunków, w których działania na rzecz przyrody w mieście będą się widzialnie opłacały. Ta opłacalność niekoniecznie musi być wyrażona ilością zer po pierwszej cyfrze. Nie chcę bezdusznie komercjalizować przyrody, ale z drugiej strony powinniśmy znać korzyści i dobro, które płynie z dobrze zaprojektowanego systemu przyrodniczego czy zielono-błękitnej infrastruktury w mieście. Będzie nam się lepiej, łatwiej i mniej kosztownie (skoro już rozmawiamy w wymiarze finansowym) żyło, jeżeli tę przyrodę zaprojektujemy i pozwolimy jej działać w zgodzie z jej własnymi prawami, nie będziemy przeszkadzać, a raczej wspierać procesy przyrodnicze. To będzie z korzyścią dla wszystkich mieszkańców miast – tych ludzkich i tych nieludzkich.



dr inż. Kinga Zinowiec-Cieplik – architektka krajobrazu, przez wiele lat związana z Katedrą Sztuki Krajobrazu na SGGW w Warszawie. Od 2012 r. – adiunktka na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Oprócz nauczania i pracy naukowej prowadzi praktykę zawodową, autorka wielu projektów przestrzeni publicznych m.in. współautorka (z Małgorzatą Milecką) Parku Znicza, (z Piotrem Hardeckim) Parku nad Balatonem, (z Katarzyną Jakubowską) Parku Henrykowski, – współautorka, ekspert (wraz z Beatą J. Gawryszewską) ds. architektury krajobrazu w tym zielonej i błękitnej infrastruktury Koncepcji zagospodarowania terenów EXPO Horticultural 2024 w interdyscyplinarnym zespole projektowym (PWC, Chapman Taylor Polska).

Zofia Smolarska: A jak z perspektywy osoby działającej w łódzkiej radzie miejskiej wygląda przydatność narracji o usługach systemowych? Czy przeliczenie wartości drzewa lub przestrzeni zielonej na ilość pochłoniętego dwutlenku węgla lub wyprodukowanego tlenu działa na wyobraźnię polityków i osób zarządzających miastem? Czy może miasto kieruje takie informacje do mieszkańców, żeby przekonać ich do swoich proekologicznych decyzji?

Magdalena Gałkiewicz: My w zasadzie o tych liczbach nie rozmawiamy. Nie zdarzyło się to dotąd ani na radzie, ani podczas obrad komisji ochrony środowiska, natomiast mam wrażenie, że ta świadomość wśród miejskich włodarzy, przynajmniej w Łodzi, jest. Mówię to z wielkim zaskoczeniem, bo długo byłam wojującą aktywistką, która z tamtej strony nie widziała dobrej woli. Natomiast w Łodzi, muszę to przyznać, jest pozytywne nastawienie i świadomość możliwości przeliczania usług ekologicznych. Wiele działań podejmowanych jest pod wpływem opłacalności. Jest też wyraźne oczekiwanie społeczne, żeby projektować miasto w taki sposób, by zieleń była zauważalna i dostępna. Mamy coraz bardziej gorące lata i wiemy, że Łódź wraz z województwem łódzkim pustynnieje. Zieleń jest po prostu dla nas bezcenna i wiem, że wśród lokalnych polityków jest duże zrozumienie i wrażliwość na te potrzeby. Z perspektywy doświadczenia pracy w radzie miasta, obserwuję rosnący trend przyjmowania planów ochronnych w prawie miejscowym, czyli w planach zagospodarowania przestrzennego, dla tych terenów, dla których jest to możliwe. Tak jak moja przedmówczyni wskazała, mamy pewne ograniczenia formalnoprawne. Ogranicza nas studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego, w którym zdarzają się absurdalne zapisy.



Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego (SUiKZP), najczęściej określane w skrócie jako studium uwarunkowań lub studium - przed 24 września 2023 r. dokument sporządzany dla całego obszaru gminy, określający w sposób ogólny politykę przestrzenną i lokalne zasady zagospodarowania. Od 24 września 2023 r. co do zasady nie uchwała się już studium, lecz plan ogólny gminy, z tym że dotychczasowe studium zachowuje moc nie dłużej niż do 30 czerwca 2026 r. i może być zmieniane. Obok miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego było aktem planowania przestrzennego i w systemie planistycznym zaliczane było do aktów planowania ogólnego obowiązującego w systemie organów gminy. Wiązało wójta, burmistrza, prezydenta miasta przy sporządzaniu miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego i służyło koordynacji ustaleń tych planów.

Na przykład w dolinie rzeki Bzury, w otulinie lasu łagiewnickiego, bardzo blisko koryta rzeki, mamy zaplanowaną w studium zabudowę jednorodziną. Nie możemy więc wbrew studium przyjąć planu zagospodarowania przestrzennego, który byłoby planem ochronnym dla tego terenu. Jedyne, co możemy zrobić, by pozostać w prawie, to poczekać na zmianę planów ogólnych, ale nie mamy władzy nad tym, czy w tym czasie na tych terenach nie zostaną wydane jakieś kolejne warunki zabudowy.

Miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego (pot. plan miejscowy, MPZP) – akt prawa miejscowego przyjmowany w formie uchwały rady gminy, określający przeznaczenie, warunki zagospodarowania i zabudowy terenu, a także rozmieszczenie inwestycji celu publicznego. Ustalenia planu miejscowego, wraz z innymi przepisami, kształtują sposób wykonywania prawa własności nieruchomości.



Zapewniam jednak, że trend ochronny istnieje i tam, gdzie nie ma jeszcze przyjętego planu zagospodarowania przestrzennego i gdzie studium na to pozwala, plany ochronne terenów cennych z punktu widzenia przyrodniczego są przyjmowane, nawet jeżeli są to tereny prywatne. Musimy w takich przypadkach liczyć się z procesami odszkodowawczymi, ponieważ ustawa o planowaniu przestrzennym przewiduje możliwość dochodzenia odszkodowania od gminy, jeżeli wartość działki spadnie ze względu na zmianę możliwości zabudowy. W Łodzi trend ochronny jest szczególnie widoczny, jak pomyślimy, ile powstało parków leśnych. Tym sposobem wchodzimy w temat tak zwanej czwartej przyrody i muszę przyznać, że to jest kierunek myślenia o przyrodzie, który mnie się bardzo podoba – uchwalając kolejne tereny parków, zostawiamy je po prostu w takiej formie, w jakiej są. Jeszcze nie tak dawno mówiło się, że samosiejki to chaszcze, chwasty i drzewa niewartościowe. Dzisiaj wiemy, że to jest cenny element ekosystemu i nasza praca organizacyjna w parkach leśnych ogranicza się do wyznaczenia alejki, ustawienia kilku ławek i koszy na śmieci.

Czwarta przyroda - to określenie na zbiorowiska roślinne rozwijające się samorzutnie na terenach opuszczonych lub zdegradowanych przez człowieka, czyli na przykład na nieużytkach, terenach przemysłowych czy hałdach. Stanowi ona przeciwieństwo uporządkowanej zieleni miejskiej i jest często postrzegana jako dzika, niekontrolowana, a nawet „niechciana”. Jednakże, czwarta przyroda ma duży potencjał ekologiczny, stanowiąc enklawy bioróżnorodności i wspierając lokalne ekosystemy.

Jeszcze jedno muszę dodać, rzeczywiście uchwalamy wiele terenów zielonych, ale z drugiej strony brakuje środków finansowych na utrzymanie tej zieleni. Borykamy się z problemami stwarzanymi przez wykonawców: inwestycje realizowane są bez poszanowania zieleni, drzewa są zaniedbywane i niszczone przez jemiotę, a obowiązek koszenia traw nie jest wypełniany skrupulatnie. Brak środków finansowych rodzi też ogromny problem z podlewaniem w obliczu coraz gorętszych lat. Nasze środki są takiej samej wysokości dzisiaj, jak 10 lat temu, a mamy znacznie więcej zieleni do utrzymania: nowe parki, co roku kilkaset nowych zielonych projektów z budżetu obywatelskiego, drzewa dosadzane w pasach drogowych. To wszystko trzeba utrzymać i podlewać, bo opady nie są wystarczające. Bardzo często spotykamy się z niezwykle przykrymi sytuacjami, kiedy nowe nasadzenia drzew po dwóch miesiącach stają się suchymi badylami. Nasze środki finansowe są i będą nadal ograniczone, musimy się więc zastanowić i może zamiast sadzić tyle nowych drzew, lepszym pomysłem będzie naprawdę staranne zadbanie o te, które mamy.

Magdalena Gałkiewicz – ekofeministka, aktywistka na rzecz praw człowieka, praw zwierząt, ochrony przyrody. Absolwentka Filologii Romańskiej oraz Informatyki Stosowanej na Uniwersytecie Łódzkim a także Prawa Ochrony Środowiska na Uniwersytecie Wrocławski. Absolwentka 27 Szkoły Liderów Politycznych. Sekretarzynie Krajowa partii Zieloni oraz liderka łódzkich struktur Zielonych. Współzałożycielka oraz członkini zarządu Stowarzyszenia Łódzkie Dziewuchy. Dziewuchom, współorganizatorka wielotysięcznych marszy w obronie praw kobiet od 2016 roku, wolontariuszka w Fundacji Międzynarodowy Ruch Na Rzecz Zwierząt Viva!. W 2021 r. odznaczona za zasługi dla Miasta Łodzi. Członkini komitetów obywatelskich inicjatyw ustawodawczych Ratujmy Kobiety, Projekt Świeckie Państwo oraz Legalna Aborcja bez Kompromisów.



Kinga Zinowiec-Cieplik: Chciałabym dodać coś ad vocem. Już kilkanaście lat temu Łodzianin, profesor Jakub Kronenberg, jako jeden pierwszych badaczy w Polsce zajął się usługami ekosystemowymi. Zrobił badania, w których spytał mieszkańców Łodzi, ile skłonni byliby wydać w postaci dobrowolnego opodatkowania na zazielenienie kilku ulic w centrum. Po przemnożeniu przez ilość mieszkańców wyszło mu wtedy 17 milionów złotych, co przekraczało kilkukrotnie budżet miasta na zieleń. To pokazuje potrzebę mieszkańców i ich wolę, by zazieleniać miasto.

dr hab. Jakub Kronenberg, prof. UŁ – ekonomista ekologiczny, kierownik Zakładu Analiz Systemów Społeczno-Ekologicznych. Wśród swoich zainteresowań badawczych wymienia: różne aspekty wartości środowiska przyrodniczego, sprawiedliwość środowiskową, zrównoważoną konsumpcję, dewzrost.

Na temat zieleni w mieście zobacz niektóre z jego prac:

Ile warte jest drzewo? – prof. Jakub Kronenberg

Zieleń w miastach (PAP Nauka).

UŁ. Sukces projektu ENABLE – lepsze wykorzystanie błękitnej i zielonej infrastruktury

To what extent do developers capitalise on urban green assets?

Niestety rzeczywiście bardzo trudno jest utrzymać nowe nasadzenia ze względu na suszę, braki i/lub koszty wody. Wracam do wątku wody, ponieważ jest on bezpośrednio powiązany z tematem czwartej przyrody. Powinniśmy się przyglądać przyrodzie, jaka może i chce w danym miejscu rosnąć i taką przyrodę w tym miejscu promować, inaczej będzie nam bardzo trudno. Oczywiście możemy dzisiaj na bagnie zrobić pustynię, a z pustyni zrobić bagno. Mamy do tego niezbędną technologię. Jest to tylko kwestia pieniędzy i odpowiedzi na pytanie, w jakim celu mamy to robić? W związku z tym popularność zdobywa obecnie pogląd, że powinniśmy działać zgodnie z naturalnymi procesami przyrodniczymi, bo to będzie dużo tańsze i skuteczniejsze niż wymuskane wimbledońskie trawniki. Z drugiej strony, jest oczywiście cała masa obiektów zabytkowych, które z racji swojego statusu, formy, tradycji, kultury i historii utrzymujemy w stanie historycznym.

Zofia Smolarska: Najwyższy czas na głos specjalisty od czwartej przyrody.

Kasper Jakubowski: Zacznę od wyjaśnienia tego terminu - czwarta przyroda to jest przyroda, która kolonizuje tereny zdegradowane przez człowieka. I robi to skutecznie. Pojawia się samoczynnie, w sposób niezaplanowany, niezapraszana. Często nas zaskakuje, jak szybko opuszczony, zaniechany teren pokrywa się jakąś formą zieleni, a po kilku latach wygląda już prawie jak las. Najbardziej spektakularnym przykładem czwartej przyrody jest to, co się dzieje w Prypeci na terenie wokół elektrowni w Czarnobylu po 37 latach od katastrofy. W Łodzi, tak jak w wielu miastach przemysłowych, czwartej przyrody jest bardzo dużo. Ważnym i trudnym aspektem zagadnienia czwartej przyrody, jest stosunek mieszkańców do niej. Nigdzie to nie jest prosta akceptacja, a już zwłaszcza trudno jest w regionach przemysłowych. Dla ludzi, którzy pracowali w danym miejscu, ta swoista ruderalność związana z czwartą przyrodą źle się kojarzy. Dla nich to jest po prostu fabryka, a nie park spontanicznej zieleni. W ich oczach dokonuje się tu degradacja, coś, co było dla nich ważne podupadło i przechodzi do historii. Natomiast nowe pokolenia ludzi, którzy mieszkają obok, już zupełnie inaczej postrzegają to zjawisko. Dla nich to może być coś wręcz fascynującego, ponieważ jest dzisiaj w Polsce moda na urbex. Jednak wydaje mi się, że jedną z większych trudności, przed jakimi stają polskie miasta, jest uszanowanie tego, co rośnie samodzielnie i umiejętność dostrzegania w tym wartości. Zagrożeniem dla czwartej przyrody jest to, że często postrzegana jest przez pryzmat samosiejki, czyli czegoś, co można w każdej chwili wyciąć, co jest rezerwą inwestycyjną. Tymczasem przedmówczyni wspomniała, jak wiele nasadzeń zamiennych usycha, to są tysiące umierających drzew. I to jest błędne koło – sadi się drzewa w ramach nasadzeń zamiennych, one usychają i w tym samym miejscu po trzech lub pięciu latach sadi się nowe nasadzenia zamienne. Ponadto są to nasadzenia bardzo nieekologiczne, bo nie dość, że są to rośliny importowane z Holandii, często genetycznie jest to ten sam osobnik, to sadi się je na torfie – to nie powinno tak wyglądać. Natomiast taka brzoza, topola osika, dąb szypułkowy czy nawet sosna pospolita, która wyrosła sama w szczelinach na betonozie, po czterech, pięciu latach osiąga imponujące rozmiary. Gdybyśmy taką sadzonkę chcieli zamówić z Holandii, zapłacilibyśmy tysiące euro, a to już wyrosło samo. Nie zawsze powinniśmy na ślepo akceptować każdy stan zastany, z którym nie będziemy nic robić i zostanie tak, jak jest. Najlepsze przykłady – z Berlina, Zagłębia Ruhry czy z Wielkiej Brytanii – pokazują, że konieczne jest znalezienie balansu pomiędzy interwencją projektową a brakiem projektowania. Na szczęście także w Polsce pojawiają się przykłady dobrych praktyk. Jeżeli państwo chcecie zobaczyć, jak wygląda taka czwarta przyroda w najlepszym wydaniu, zachęcam do wizyty na Kopcu Powstania Warszawskiego na Czerniakowie, w warszawskiej dzielnicy Mokotów. Jest to zrobione znakomicie i udostępnione do zwiedzania.



Możecie pojechać do Berlina i zobaczyć na przykład Natur Park Schöneberger Südgelände czy Nordbahnhof Park. Oba te parki zdobyły już kilka nagród urbanistyczno-projektowych. Podam też przykład z Krakowa. Mamy w środku miasta kamieniołom, tak zwany Kamieniołom Libana, potocznie Liban. Miał tam być wykonany wielki projekt rewitalizacji za 40 milionów złotych. Myślę, że do temat tak zwanych „rewitalizacji” także powinniśmy powrócić w toku dzisiejszej rozmowy. Aktywiści i naukowcy protestowali przeciwko temu projektowi i miasto się wycofało. I teraz najciekawsze – z nieużytku przemysłowego kamieniołom stał się unikalnym użytkiem ekologicznym. Więc wydaje mi się, że trzeba podkreślić z mocą pytanie, jakiej zieleni potrzebujemy w mieście? Owszem, bardzo potrzebujemy terenów chronionych. Ich powstawanie świadczy, że jesteśmy poziomie rozwoju urbanistycznego pozwalającym świadomie działać w kierunku konserwacji, zachowania funkcji przyrodniczych pewnych terenów. Miasta mają narzędzia i środki, aby włączać się aktywnie w te proprzyrodnicze działania. Możemy wspólnie usiąść do stołu i przyjrzeć się, jakie tereny w systemie przestrzennym miasta jesteśmy w stanie wyłączyć z procesów inwestycyjnych i objąć skutecznie ochroną. Właśnie wracam z Cieszyna, gdzie stworzono miejskie rezerваты, powołano nowe zespoły przyrodniczo-krajobrazowe oraz użytki ekologiczne. Mamy bardzo różnorodne prawne formy ochrony przyrody, niektóre łatwiej powołać, niektóre są bardziej skomplikowane i restrykcyjne. Szczególne znaczenie ma wspomniany użytek ekologiczny, bo możemy chronić zwykłą przyrodę nawet tę „czwartą”, tak jak w Libanie.

Użytek ekologiczny – jedna z form ochrony przyrody w Polsce. Są to zasługujące na ochronę pozostałości ekosystemów, mających znaczenie dla zachowania różnorodności biologicznej – naturalne zbiorniki wodne, śródpolne i śródleśne oczka wodne, kępy drzew i krzewów, bagna, torfowiska, wydmy, płaty nieużytkowanej roślinności, starorzecza, wychodnie skalne, skarpy, kamieńce, siedliska przyrodnicze oraz stanowiska rzadkich lub chronionych gatunków roślin, zwierząt, i grzybów, ich ostoje oraz miejsca rozmnażania lub miejsca sezonowego przebywania. Istotnym powodem tworzenia użytków ekologicznych jest potrzeba objęcia ochroną niewielkich powierzchniowo obiektów, ale cennych pod względem przyrodniczym. Użytek ekologiczny ustanawia rada gminy.



Myślę, że czwarta przyroda jeszcze niejednym nas zaskoczy. W Łodzi jest bardzo rozwinięta czwarta przyroda głównie w formie zarastających ruin fabryk przemysłu włókienniczego, może piaskowni. W Krakowie są kamieniołomy i historyczne fortyfikacje. We wspomnianym Kamieniołomie Libana ostatnie prace wydobywcze zakończyły się w 1986 roku. Po 33 latach zaobserwowano w środku kamieniołomu storczyki. Nikt nie wie, skąd się wzięły, po prostu są. W tej chwili jest to ostoja połowy gatunków polskich ważek – w środku miasta, trzy kilometry w linii prostej od Wawelu. Mamy też bardzo dużo gatunków ciepłolubnych, półpustynnych, które uwielbiają skały, ale również rozpadający się asfalt i beton. Niekiedy nazywam to miejsce „nowym Edenem”, ponieważ jest enklawą nowej, miejskiej bioróżnorodności. W kamieniołomie są też płazy – jest kumak górski, nizinny, żaby zielone i brązowe, traszka grzebieniasta. Nie wiem, czy jest dziś na sali jakiś przyrodnik, ale jak opowiadam o traszce grzebieniastej w Krakowie, to ludzie zorientowani zwykle robią wielkie oczy, bo to jest gatunek z drugiej dyrektywy siedliskowej, dla którego tworzy się obszary Natura 2000.

Gatunki wymienione w załączniku II Dyrektywy Siedliskowej (92/43/EWG) to gatunki, dla których ochrona wymaga wyznaczenia specjalnych obszarów ochrony, znanych jako obszary Natura 2000. Te gatunki są uważane za szczególnie ważne dla zachowania różnorodności biologicznej w Unii Europejskiej i wymagają szczególnych środków ochrony.

Skąd się wzięła w terenie przemysłowym? Nie wiemy. Faktem jest, że przyroda niewiarygodnie szybko odzyskuje dla siebie takie „opuszczone” przez człowieka tereny. W związku z tym mój apel jest następujący, i jest to też apel do botaników: nie patrzmy w pierwszej kolejności na to, czy te samosiejne gatunki są rodzime, czy nie rodzime, tylko zobaczmy, że to jest połać zieleni odpornej. Już jest, rośnie, ewoluuje, może być potencjalną wartością i miejscem, w którym możemy stworzyć nowe parki miejskiej przyrody. Kończąc wątek czwartej przyrody, przypomnę hasło, które zobaczyłem na wystawie organizowanej podczas Łódź Design Festiwal. Pojawiło się tam pytanie: „Jakiej przyrody potrzebujemy w mieście?” I była na nie odpowiedź, z którą się zgadzam: „Każdej”. Potrzebujemy S, M, L, i XL. Dzisiaj potrzebujemy nawet mikro-intervencji w zakresie balkonu, daszku, ściany.

Potrzebujemy przyrody w poziomie i w pionie. Nie muszą być to ogrody wertykalne, których jestem przeciwnikiem, bo generują w utrzymaniu ogromne koszty, ale potrzebujemy pnączowania elewacji. Pnącza mogłyby być naprawdę wszędzie. 20 m² pnączy daje taki sam efekt ekologiczny, jak 10 średniej wielkości drzew. Chciałbym, żeby to weszło w standard każdego planu inwestycji i programu rewitalizacji. Jeśli konserwator zabytków nie pozwala wyjąć kilku płyt posadzki, żeby coś posadzić lub pozwolić, żeby samo wyrosło, to są przecież dachy. Zielonych dachów potrzebujemy dosłownie wszędzie. Ja już sobie nie wyobrażam, żeby w powszechnej betonozie w obliczu takiej patelni, jaką obecnie mamy latem, tych dachów nie zazieleniać. Potrzebujemy eksperymentalnych podejść. Przykładem mogą być tak zwane „brązowe dachy”, które powstają na przykład w Wielkiej Brytanii. Koncept polega na tym, że technologicznie planuje się i buduje wszystko jak pod zielony dach: żeby się nie zawaliło, nie przeciekało itd., a potem żwir, piasek, trochę kompostu. Docelowo natomiast „brązowy dach” ma sam zarosnąć. Ptaki mają przynieść, wiatr ma rozsiać. Człowiek tylko inicjuje start czwartej przyrody. Tak więc ja opowiadam się za tą bardziej „dziką” i naturalistyczną przyrodą. Jeśli ktoś twierdzi, że potrzebujemy przyrody historycznej, urzędzonej, to ja na to zapotrzebowanie nie odpowiem. Natomiast dla Krakowa i Wrocławia przygotowywałem z zespołem standardy wprowadzania bioróżnorodności i zarządzania zielenią bioróżnorodną. Wypracowaliśmy propozycję wprowadzenia tak zwanych ekostref czy zwierzostref – ostatecznie zostaliśmy przy nazwie zieleni biocenotyczna – to zalecenie pozostawienia minimum 10% każdej przestrzeni inwestycyjnej z myślą o bioróżnorodności. Mam tu na myśli takie osiedlowe samograje, miejsca, gdzie będziemy ograniczać koszenie, składować martwe drewno, bo już wiemy dzięki badaniom naukowym, że to jest to najlepszy hotel dla owadów, który możemy zainstalować wszędzie – nawet na dachu.

Tereny zieleni biocenotycznej położone są w obszarach zurbanizowanych (w granicach administracyjnych miast i obszarach o zwartej zabudowie). Porośnięte są przez zbiorowiska roślinne naturalne (np. fragmenty grądów, łęgów, borów), półnaturalne (np. łąki wilgotne i świeże, murawy kserotermiczne, torfowiska, szuwały, zbiorowiska roślinności wodnej i bagiennej), synantropijne (zbiorowiska ruderalne), lub porośnięte są zaprojektowaną zielenią odpowiadającą w/w zbiorowiskom roślinnym. Tereny zieleni biocenotycznej cechuje bogactwo występujących w nich rodzimych gatunków organizmów. Pełnią w ekosystemach obszarów zurbanizowanych kluczowe funkcje dla zachowania równowagi środowiska przyrodniczego tych obszarów. Tereny zieleni biocenotycznej obok naczelných funkcji przyrodniczych służą mieszkańcom przede wszystkim jako miejsca rekreacji kontemplacyjnej, edukacji i kontaktu z naturą, oraz badaniom naukowym.

autor: mgr Stefan Gawroński Instytut Botaniki UJ

I proszę się nie martwić, w przypadku Łodzi czwartą przyrodą nie będzie tylko inwazyjna, pochodząca z Ameryki Północnej nawłóć późna, ale także gatunki związane historycznie z przemysłem włókienniczym, na przykład szczęć barwierska – świetny gatunek. To jest lek na boreliozę, roślina, z którą związane jest 50 gatunków owadów. Wyrabiano z niej szczoty do czesania wełny, więc w Łodzi było jej do niedawna sporo przy każdym zakładzie przemysłowym. Gatunek prawie kompletnie nieznaną szerszemu społeczeństwu, ale kiedy stworzy się dla niego kontekst kulturowy, zaczyna być wartością. Niestety nie spotkałem go dotąd w żadnej łódzkiej rewitalizacji? Skądinąd są to udane rewitalizacje, bardzo mi się podobają, ale nigdzie nie ma tego gatunku – zmarnowany potencjał. Są zwykłe irgi, taka typowa zieleni miejska, której nie będę krytykował, bo na nią też jest miejsce. Ale nie ma w niej nic szczególnego, ona może rosnąć równie dobrze tu, co w środku Nowego Jorku. A mnie się wydaje, że Łódź zasługuje na coś więcej, że czwarta przyroda to nie jest tylko domena zielonych freaków i ekologów. Przyroda tutaj jest elementem dziedzictwa przemysłowego i kulturowego miast. Czemu my tego nie widzimy? Nie wiem. To mój głos nieco w kontrze wobec stanowiska konserwatorów.

Nawłóć późna *Solidago gigantea* – IGO – inwazyjny gatunek obcy.

Fot. Jerzy Opiola - Praca własna, CC BY-SA 4.0,



Szczęć barwieska (sukiennicza)

Fot. Eugene Zelenko - Praca własna, CC BY-SA 4.0,

Szczęć pospolita

Fot. Rosa-Maria Rinkl - Praca własna, CC BY-SA 4.0,





Irga

Fot. I. Sáček, senior - Own work, CC0, -

W Zagłębiu Ruhry widzą to wyraźnie i tam czwarta przyroda jest eksponowana i chroniona jako element pogórniczego dziedzictwa. Jest elementem opowieści o regionie przemysłowym Zagłębia Ruhry. Polecam zobaczyć. Władze regionu zapraszają artystów, którzy robią instalacje z wykorzystaniem roślin. Nawet inwazyjna nawłóć znajduje tam miejsce w narracji historycznej. Choć gdzieś niedługo jest zwalczana jako gatunek zagrażający rodzimej florze.

dr Kasper Jakubowski – Dyrektor Merytoryczny i współtwórca Forest Maker. Architekt krajobrazu, edukator i renaturyzator. Twórca roślinnych instalacji artystycznych – realizuje projekty na styku ekologii, architektury i sztuki. Autor książki *Czwarta przyroda: sukcesja funkcji i przyrody nieużytków miejskich*. Projektant zieleni na kilkudziesięciu osiedlach w Polsce (m.in. nagrodzonej zieleni na osiedlu Nowy Strzeszyn w Poznaniu). Autor scenariusza i ilustracji do ścieżki o czwartej przyrodzie na Kopcu Powstania Warszawskiego w Warszawie. Wspólnie z deweloperem UWI Inwestycje otrzymał nagrodę w konkursie „Zaprojektowane po Ludzku” za posadzenie mikrolasów w Poznaniu. Od lat wypracowuje i wdraża zasady regeneracyjnego projektowania i rozwiązań opartych na naturze.

Publikację *Czwarta przyroda: sukcesja funkcji i przyrody nieużytków miejskich* w formie e-booka można bezpłatnie pobrać tutaj: <https://dzieciwnature.pl/blog/ebook-o-miejskich-nieuzytkach/>

Marcin Gawroński: Chciałbym powrócić do pytania, które zadała Kinga – jak wdrażać dobre praktyki i wiedzę, którą posiadamy? Po pierwsze edukacja, prawda? Podejmujemy różne inicjatywy, które mają lepsze i gorsze efekty. Mnie się jednak wydaje, że dużo większą rolę odgrywałyby regulacje. W Polsce ciągle panuje nastawienie, które sprawia, że działania w tym obszarze wymagają regulacji i one faktycznie przekładają się na wyniki. Natomiast w moim odczuciu regulacje te są wciąż za słabe. Jak powiedziała Kinga – nie mamy nawet sprecyzowanych wymagań dotyczących jakości zieleni, tylko procent powierzchni biologicznej. Uporządkowanie tego tematu poprzez lokalne uchwały, to przestrzeń i zadanie dla włodarzy miast. Kacper wspomniał, że zdarzają się takie projekty, na przykład program parków kieszonkowych w Krakowie albo programy dopłat do mikroretencji, która może być realizowana w postaci beczek przy zabudowaniach. W Białymstoku warszawska Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego robiła projekt wyceny wartości odtworzeniowej zieleni, który można stosować w praktyce, na przykład dając deweloperom konkretne i bardzo klarownie przeliczone wytyczne dotyczące nasadzeń w miejscach rekompensat.

Metoda odtworzeniowa (kompensacyjna) wiąże się z kosztami sadzenia i pielęgnacji nowych nasadzeń, mających zastąpić usunięte drzewo. Szacowany koszt odtworzenia uzależniony jest od: 1) gatunku drzewa, 2) gabarytów, 3) kondycji, 4) lokalizacji.

Na podst.: „Ocena i wycena usług ekosystemowych wybranych drzew na terenie Miasta Białystok”, Katedra Architektury Krajobrazu SGGW w Warszawie, Zespół: dr inż. arch. kraj. Marzena Suchocka, mgr inż. arch. kraj. Karolina Kais, Warszawa, 15 września 2022 r.

Dokument do pobrania [tutaj](#)

Inną odnogą tego zagadnienia jest sektor prywatny. Tu z doświadczenia zawodowego wiem, że klarowne wytyczne byłyby bardzo użyteczne i pożądane. Dla zobrazowania możliwości oddziaływania regulacji opowiem o narzędziach certyfikacji wielokryterialnej budynków. Stosuje się je do budynków albo do założeń urbanistycznych na poziomie kilku-, kilkunastobudynkowych obszarów. Ocenie podlega szereg kryteriów, między innymi: materiały, energia, sposób zarządzania, jakość środowiska wewnętrznego, jakość pracy ludzi. Jest tam też cały rozdział dotyczący przyrody. Oceniamy, czy budynek jest budowany na działce, która była poprzednio zagospodarowana – to jest bardzo ważny aspekt i przyznajemy punkty za to, że nie eksploatuje się nowego, dziewiczego, zielonego terenu, tylko buduje na obszarze, który był wcześniej zabetonowany, zagospodarowany albo zanieczyszczony chemikaliami, substancjami ropopochodnymi lub – z innej strony – zielenią inwazyjną. Na przykład na Śląsku powszechna jest inwazja redestowca a przy okazji inwestycji budowlanych glebę można rekultywować i poprawić stan zieleni w tym miejscu. Wtedy inwestycja jest wyżej oceniana.

To jest aspekt związany z pracą przyrodnika, który przyjeżdża na działkę, robi inwentaryzację i dla konkretnej inwestycji tworzy zestaw wymagań i wytycznych dotyczących tego, jak można zieleni poprawić. Tworzy też specjalne plany pielęgnacji bioróżnorodności na kolejne 5 lat funkcjonowania zieleni, żeby była doglądana, a potem mogła dalej sama funkcjonować już bez opieki i bez kosztów ponoszonych na jej eksploatację. To jest aspekt oceny związany z utrzymaniem. Na tej podstawie wyznaczone zostają obszary oceny i w zależności od tego, ile z tych zaleceń deweloper wdroży, inwestycja otrzyma punkty do certyfikacji. Fundusze inwestycyjne i banki, które decydują o finansowaniu inwestycji, mogą używać takich certyfikacji do oceny wniosku. Tak więc jest to pole, na którym można bardzo wiele zdziałać pod kątem poprawy bioróżnorodności, jakości zieleni czy poprawy bytu zwierząt, nawet jeśli te certyfikacje działają nieco inaczej w sektorze prywatnym niż w sektorze publicznym. Przy okazji inwestycji budowlanych glebę można rekultywować i poprawić stan zieleni w tym miejscu. Wtedy inwestycja jest wyżej oceniana. To jest aspekt związany z pracą przyrodnika, który przyjeżdża na działkę, robi inwentaryzację i dla konkretnej inwestycji tworzy zestaw wymagań i wytycznych dotyczących tego, jak można zieleni poprawić. Tworzy też specjalne plany pielęgnacji bioróżnorodności na kolejne 5 lat funkcjonowania zieleni, żeby była doglądana, a potem mogła dalej sama funkcjonować już bez opieki i bez kosztów ponoszonych na jej eksploatację. To jest aspekt oceny związany z utrzymaniem. Na tej podstawie wyznaczone zostają obszary oceny i w zależności od tego, ile z tych zaleceń deweloper wdroży, inwestycja otrzyma punkty do certyfikacji. Fundusze inwestycyjne i banki, które decydują o finansowaniu inwestycji, mogą używać takich certyfikacji do oceny wniosku. Tak więc jest to pole, na którym można bardzo wiele zdziałać pod kątem poprawy bioróżnorodności, jakości zieleni czy poprawy bytu zwierząt, nawet jeśli te certyfikacje działają nieco inaczej w sektorze prywatnym niż w sektorze publicznym. Sądzę, że gdyby była wola polityczna, by takie wytyczne przyjąć, mogłoby to zadziałać na naprawdę dużą skalę. Jeśli się zatrudni dobrych przyrodników, można w bardzo skuteczny sposób pokazywać, jak zieleni poprawiać w konkretnych inwestycjach. Potem będziemy liczyć na to, że jedni od drugich będą się uczyć i krok po kroku sytuacja się poprawi. Podsumowując, uważam, że największe wyzwanie, które przed nami stoi, to zdecydowanie, jak chcemy to zrobić.



Rdestowiec ostrokończysty (*Reynoutria japonica* Houtt.) – gatunek rośliny z rodziny rdestowatych. Pochodzi ze wschodniej Azji, ale został szeroko rozprzestrzeniony. Uznawany za jeden ze 100 najbardziej inwazyjnych gatunków na świecie.



Fot. W. Carter - Praca własna, CC0,

dr inż. Marcin Gawroński – Dyrektor Działu Budownictwa Ekologicznego w Sweco Polska, Prezydent Polskiego Stowarzyszenia Budownictwa Ekologicznego oraz Prezes Zarządu Fundacji Miasta Przyszłości. Posiada licencje systemów certyfikacji wielokryterialnych BREEAM NC, BREEAM In-Use, BREEAM AP BREEAM IRFO oraz LEED GA. Jest praktykiem z ponad czternastoletnim doświadczeniem w branży budownictwa zrównoważonego. Rozwinął zespół kilku inżynierów w czterdziestoosobowy, wielokrotnie nagradzany Dział Budownictwa Ekologicznego, który jest liderem polskiego rynku w zakresie usług związanych z certyfikacją wielokryterialną, wspomaganiem procesu realizacji zielonych inwestycji, dekarbonizacją czy raportowaniem ESG. Zespół Sweco był odpowiedzialny m.in. za certyfikację BREEAM pierwszych projektów w Polsce, zarówno wśród budynków nowych jak i istniejących, oceniając do tej pory ponad 400 obiektów. W latach 2015, 2016 i 2017 w głosowaniu specjalistów z branży otrzymał nagrodę Eurobuild Green Service Provider of the Year. Ma także na koncie nagrody od jednostek certyfikujących najpopularniejszych systemów oceny budynków (BREEAM, WELL, Fitwel). Przewodzi Fundacji Miasta Przyszłości, która wspiera inicjatywy związane z tworzeniem nowoczesnych i przyjaznych miast oraz organizowała konferencję Miasta Przyszłości.

Zofia Smolarska: Rozumiem, że póki co te certyfikaty są dobrowolne, ciekawi mnie zatem, co skłania deweloperów, aby zwrócić się do takiej firmy jak Sweco z prośbą o ocenę, a następnie na przykład podnieść poziom bioróżnorodności wokół inwestycji? To przecież oznacza dla nich dodatkowe nakłady finansowe.

Marcin Gawroński: Motywatorów może być kilka. Nadrzędny jest oczywiście finansowy. Certyfikowanie to narzędzie rozpoznawalne międzynarodowo przez banki i fundusze inwestycyjne, które kredytują budowę, a potem obracają tymi nieruchomościami. Dzięki informacji o ocenie w danym systemie certyfikacji, mogą zdecydować, czy chcą kupić budynek i mieć go w swoim portfelu. Aspekt finansowy jest powiązany z przyszłymi najemcami, na przykład biurowca. Firmy rozważające najem też chcą wiedzieć, że pracują w budynku, który będzie miał niskie koszty eksploatacji, który będzie zrównoważony, w którym będzie dobra jakość środowiska pracy i tak dalej. Są też aspekty bardziej wizerunkowo-marketingowe. Bank wie, że będzie finansował inwestycję przyjazną środowisku. Firma wynajmująca też może mieć zieloną politykę i chcieć, by jej siedziba była wybudowana zgodnie z zasadami zrównoważonej ekologii.

Kinga Zinowiec-Cieplik: Ja chętnie opowiem o tych standardach. Jestem członkinią Koła Architektury Zrównoważonej Oddziału Warszawskiego SARP, gdzie także zastanawiamy się nad możliwościami związanymi z certyfikowaniem.

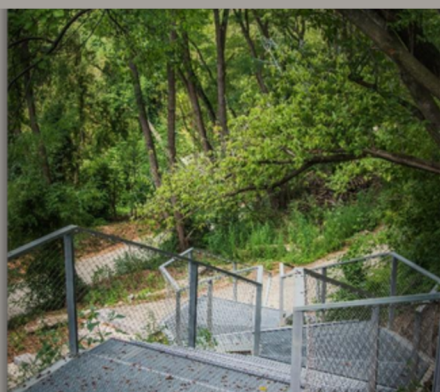
Stowarzyszenie Architektów i Architektek Polskich (SARP) jest organizacją zrzeszającą architektów zainteresowanych promowaniem architektury, wysokich standardów wykonywania zawodu architekta, a także działaniem na rzecz otaczającej nas przestrzeni. Do najważniejszych zadań SARP należą: dbałość o jakość architektury i środowiska, tworzenie warunków do rozwoju twórczości architektonicznej i jej ochrona, rozwój warsztatu i zawodu architekta. SARP realizuje te cele między innymi poprzez publiczne zabieranie głosu w sprawach dotyczących przestrzeni, edukację architektoniczną czy organizację konkursów architektonicznych w oparciu o przejrzyste procedury.

Według: sarp.warszawa.pl

W kole też mamy specjalistów, certyfikowanych audytorów, którzy przyznają inwestycjom te oceny w zależności od stopnia spełnienia wielu złożonych kryteriów i bardzo mnie cieszy, że za tym idzie finansowanie. Według zapowiedzi w niedalekiej przyszłości banki w Europie nie będą mogły finansować inwestycji, które nie będą się wykazywać zrównoważeniem. Za tym pójdzie cały proces, na który wiele osób patrzy krzywo, bo to będzie nowa procedura raportowania i konieczność de facto stworzenia nowego zawodu, zatrudnienia osoby, która w inwestycji będzie odpowiedzialna tylko za to. Dodatkowa procedura nieuchronnie wpłynie na wzrost kosztu inwestycji. Obecnie wspomniane certyfikaty dotyczą obiektów biznesowych.



W budownictwie mieszkaniowym są rzadkością i przyjmują się bardzo ciężko, właśnie dlatego, że jest to dodatkowy koszt inwestycji. W Warszawie średnia cena za metr kwadratowy mieszkania to od 16 do 20+ tysięcy złotych w zależności od usytuowania. Jeśli do tego jeszcze dołożymy koszt certyfikacji, to trudno będzie działać na rynku, ponieważ ceny będą zaporowe dla szeregowego odbiorcy i ludzie nie będą w stanie takich mieszkań kupować. Tym sposobem znów lądujemy w temacie polityki mieszkaniowej państwa i regionu, ale może nie poruszajmy tego wątku, bo to jest osobne wielkie zagadnienie. Natomiast faktycznie wchodzi do Polski system wspierany przez Unię Europejską, który będzie promował działania zrównoważone w budownictwie. Prawdę powiedziawszy, ja jestem bardzo ciekawa, jak to będzie wyglądało, bo jak wiadomo – Polak potrafi. Natomiast na pewno będzie to narzędzie, które zmusi chociażby do zastanowienia się, co można zrobić, czego nie chcemy zrobić i tak dalej. Do tego jeszcze długa droga, ponieważ materiały także powinny mieć certyfikaty, które wyjaśnią, z czego powstały, ile CO₂ zostało w związku z tym wyemitowane do atmosfery itd., ale to ciągle przed nami. Natomiast jest to dobry trend. Rozumiem, że z punktu widzenia aktywisty ekologicznego, dzieje się niewiele, ale okazuje się, że choćby w Łodzi po drugiej stronie są ludzie, którzy są świadomi. Sprawy nie posuwają się tak szybko, jakbyśmy sobie tego życzyli, bo niestety obowiązują prawo, procedury, własności itd. Tego, że dany park usytuowany jest na dwóch działkach mających innych właścicieli i trudno coś z tym administracyjnie zrobić, mieszkańcy nie widzą i nie wiedzą. Ale podam też pozytywny przykład trendu przyrodniczego w mieście. Na przykład w Warszawie jest Nagroda Architektoniczna Prezydenta m.st. Warszawy i od kilku lat jest w ramach tej nagrody przyznawana „podnagroda” za projekt odpowiedzialny środowiskowo. W większości edycji wygrywają tereny zazielenione. W roku 2024 wszystko zebrał Park Akcji „Burza”.



Park Akcji „Burza” pod Kopcem Powstania Warszawskiego

Projekt: Justyna Dziedzicko i Maciej Kaufman oraz Marcin Maraszek i Magdalena Wnęk z konsorcjum spółek: Archigrest Sp. z o.o. i TopoScape Sp. z o.o.

Fot. <https://zzw.waw.pl/nasze-tereny/parki/park-akcji-burza/>

Jeśli więc pytamy, jak to robić, to tu, moim zdaniem, mamy przykład, że potrafimy przodować w nowatorskich realizacjach. To jest obiekt rewelacyjny nie tylko w skali Warszawy czy Polski, ale również Europy, o czym świadczą nagrody europejskie. Pamiętam zresztą, że swego czasu Justyna Dziedzicko, współautorka projektu Parku Akcji „Burza” z TopoScape miała wyrzuty sumienia, bo z kolegami w Kole Architektury Zrównoważonej dyskutowaliśmy o tym, że beton jest materiałem bardzo nieekologicznym, a ona w tym czasie w parku lała tony betonu. Okazało się, że beton w jej projekcie jest bardzo ciekawie zaprojektowany i wykonany jako struktura bio-receptywna. W dodatku udało się to zrobić w bardzo prosty sposób. Zadziałało coś, o czym my wszyscy wiemy, ale wbrew pozorom w różnych miejscach trudno do tego dojść. Zadziałały lata doświadczeń i dobra wola wszystkich podmiotów, które uczestniczyły w tym projekcie. Po pierwsze dojrzały, świadomi projektanci. Po drugie świadomy inwestor – w tym wypadku był to Zarząd Zieleni m. st. Warszawy, w którym pracuje bardzo wielu architektów krajobrazu, przyrodników i ogrodników – który zorientował się, co ma w ręku i bardzo mu zależało, żeby wszystko wybudować w kształcie, w jakim zostało zaprojektowane, żeby nie iść na skróty. Po trzecie wykonawca wszedł w temat z dużym zaangażowaniem. Robione były mock-up’y ścian betonowych na miejscu. Który wykonawca powie „dobra, to ja będę próbował, aż mi wyjdzie tak, jak ma wyjść”? A tam się tak stało, bo wiadomo było, że to jest coś nowego, że na to nie ma standardu. Inwestor dał na to zgodę, a wykonawca nie próbował ciąć kosztów. Jeżeli jest tak bliska i naładowana tak dobrą energią współpraca, to jest duża szansa na sukces, i tu się to udało. Trzeba przyznać, że warszawski Zarząd Zieleni postawił sobie za zadanie nie tylko utrzymywać czy sprawować pieczę nad przyrodą, ale też obserwować, co się z nią dzieje w mieście.

Dlatego pozwalają sobie na eksperymenty. Kiedyś na spotkaniu usłyszałam od ich pracowników, że posadzili olchę i świetnie się sprawdza w mieście, co było o tyle zaskakujące, że olcha znana jest z awersji do ruchu samochodowego. Zresztą oni współpracują też z kolegami z SGGW, którzy na ich zlecenie zrobili wspomniane przez Kaspra badanie nieużytków, po którym okazało się, że w mieście nie ma chwastów i nieużytków, że wszystko jest zielenią i roślinnością spontaniczną, która ma dużą wartość i której należy się ochrona. A to kolejny ważny wątek – ochrona. W moim rozumieniu ochrona jest ważna, ale to powinna być ochrona aktywna. Nie może to być ogrodzony, zamknięty rezerwat, gdzie nie można wejść, bo to nie przemawia do mieszkańców. Oni chcą zobaczyć to, co chronią, chociażby z daleka. Wtedy mamy szansę na edukację i zaangażowanie mieszkańców w tę ochronę. Wtedy ona będzie miała sens. Jeżeli będziemy tylko zabraniać, to ludzie i tak tam wejdą z ciekawości, czym ryzykujemy dewastację. Natomiast jeśli będą aktywnie uczestniczyć w ochronie, będą zaangażowani i wyedukowani, to zyskujemy sprzymierzeńców. Myśląc o edukacji, myślę o takich spotkaniach, jak to dzisiejsze – dyskusje, rozmowy, spotkania dzielniccy albo zarządu zieleni z mieszkańcami danego rejonu – to ma szansę na powodzenie. To jest wartość dodana.

Zofia Smolarska: Cieszę się, że opowiedziałaś szczegółowo, dlaczego realizacja projektu Parku Akcji „Burza” mogła się powieść. Powiedz jeszcze, co według ciebie stanowi o jego największej wartości, co ci się w nim najbardziej podoba? I co to jest ten beton bio-receptywny?

Kinga Zinowiec-Cieplik: Projektanci, tak jak powiedział tutaj Kasper, zostawili przyrodę zastaną w stanie nienaruszonym. Wypracowali miejsca wejść na kopiec, ponieważ wcześniej było jedno główne wąskie wejście i szereg dzikich przejść, trudno było również dostać się na szczyt osobom z ograniczeniami ruchowymi. Projektanci to uporządkowali i usprawnili, jednocześnie zabezpieczając przyrodę przed dewastacją. Natomiast projekt jako taki jest bardzo powściągliwy i oszczędny w zakresie elementów dodanych do tej przestrzeni. Ponadto projektanci bardzo świadomie weszli we współpracę z fitosocjologiem Piotrem Sikorskim z SGGW, który zweryfikował tamtejszą roślinność i pomógł zdecydować, co można zrobić, żeby czwartą przyrodę wesprzeć i jej nie zniszczyć. Dzięki radom specjalisty w zasadzie zostało zachowane wszystko, co tam zastano, choć były problemy z inwazyjnością niektórych gatunków. Projektanci stwierdzili jednak, że rośliny te zdomowały się tam i nadają charakter temu miejscu. Odwołali się do idei trzeciego krajobrazu, która jest spójna z ideą czwartej natury.

„Nieokreślony fragment ogrodu globalnego, **trzeci krajobraz**, składa się z ogółu zaniedbanych/porzuconych przez człowieka miejsc. Obszary te są różnorodne biologicznie, różnorodność owa nie jest dziś jednak uznawana za bogactwo. Idea trzeciego krajobrazu rehabilituje te miejsca jako bezcenne bogactwo różnorodności biologicznej. Trzeci krajobraz odwołuje się do stanu trzeciego (a nie do Trzeciego Świata). Do przestrzeni niewyrażającej ani władzy, ani uległości władzy. Odnosi się do pamfletu Sieyès'a z 1789 roku:

«Czym jest stan trzeci? – Wszystkim.

Czym był dotychczas w ustroju politycznym? – Niczym.

Czego żąda? – Ażeby stał się czymś»”.

Gilles Clément, Manifest trzeciego krajobrazu, „Autoportret. Pismo o dobrej przestrzeni” 2019 nr 3,

Co innego, jeżeli nawłóć zarasta bardzo cenne zbiorowiska łąk, a co innego, jeżeli mamy trochę nawłoci w mieście. Jeżeli bowiem w danym miejscu nie chce rosnąć nic z rodzimych gatunków, a rosną gatunki obce lub nawet inwazyjne, no to hurra! W mieście możemy się tylko cieszyć, bo przyroda jest i będzie tutaj działać. Ja ostatnio z przerażeniem przeczytałam w gazecie hasło „ciemna strona miodu pszczelego”, bo pszczoły śmiały zrobić miód z nawłoci. A ja się ucieszyłam, bo przyroda znalazła sposób na wykorzystanie nawłoci. To jest jeszcze jeden temat, o którym dzisiaj pewnie nie będziemy mówić, ale czas przyrody płynie zupełnie inaczej niż czas ludzkiego życia. Drzewa rosną po kilkadziesiąt lat. Przyroda się zmienia, ewoluuje setki i miliony lat. Ekosystemy ewoluują i one sobie poradzą. Oczywiście mamy narzędzia, żeby zniszczyć wszystko, co żyje na Ziemi, ale bez naszej ingerencji przyroda w końcu sobie poradzi. Tylko czy my w tym wszystkim się odnajdziemy? I tu chodzi o to, żebyśmy się umieli w tym odnaleźć.

Kasper Jakubowski: Dodam kilka informacji od podszewki o Parku Akcji „Burza”, bo proces powstawania tego parku był faktycznie bardzo ciekawy. Ja nie jestem projektantem, ale jestem autorem jednej ze ścieżek edukacyjnych. Powstała tam

znakomita ścieżka edukacyjna o gruzie – naprawdę polecam wycieczkę na kopiec. Ja stworzyłem przyrodniczą ścieżkę edukacyjną – o czwartej przyrodzie. W połowie tego procesu odbyłem bardzo ciekawe spotkanie tam na miejscu. Zarząd Zieleni poprosił mnie o konsultację, ponieważ projektantki na początku nie były przekonane, ile czwartej przyrody powinno być zachowane i wyniknął spór. To miała być ostra renaturyzacja, miało być wzbogacanie kopca sadzonkami rodzimych gatunków leśnych. Ja apelowałem, żeby zachować na kopcu na zasadzie eksperymentu strefy czwartej przyrody, gdzie pozwolimy tej sukcesji działać dalej. Ostatecznie wyszło fenomenalnie i rzeczywiście możemy zobaczyć, gdzie jest troszeczkę wzbogacona bioróżnorodność o rodzime gatunki, a gdzie przyroda jest pozostawiona sama sobie i możemy obserwować, jak ten kopiec, to gruzowisko, ewoluuje. To jest ewenement. Rozmawiając o czwartej przyrodzie, powinniśmy jeszcze wspomnieć Romana Kobendzę. To był badacz zajmujący się warszawskimi gruzowiskami po drugiej wojnie światowej i do dzisiaj zachowały się jego publikacje. W ramach projektu z łąkarzem przygotowaliśmy nasiona według składu gatunkowego łąk opisanych w jego badaniach. Ponadto z autorami projektu opublikowaliśmy artykuł w czasopiśmie „Zieleń miejska”, który wywołał burzę. Były ogromne dyskusje, jak to jest możliwe, że Zarząd Zieleni akceptuje gatunki inwazyjne na kopcu. Tu jednak nie ma prostych odpowiedzi, bo wspomniana nawłóć pełni na kopcu swoją specyficzną funkcję i rzeczywiście nie ma sensu jej usuwać. Natomiast na podkrakowskich łąkach wdrażamy projekty jej usuwania. Bo wyobraźcie sobie państwo łąkę składającą się z 60 gatunków storczyków, pojawia się nawłóć i pod nią ginie wszystko inne. Ja naprawdę analizowałem z punktu widzenia biologicznego wiele terenów, które historycznie były cennymi przyrodniczo łąkami. Po pojawieniu się nawłoci są to pustynie nawłociowe. Więc nie ma prostej odpowiedzi, gdzie będziemy roślinność chronić, gdzie przywracać albo renaturyzować, a gdzie powiemy – „zostawiamy miejsce przyrodzie i niech ona sama, taka jaka jest, zdecyduje co dalej”. Zawsze są dyskusje, zawsze będzie się krytykowanym, ale przyroda się zmienia. Stara szkoła ochrony przyrody odchodzi w przeszłość i to, co i jak my będziemy chronić w dwudziestym pierwszym wieku, będzie bardzo daleko odmienne od tego, czego państwo się uczyli z podręczników do biologii. Po prostu rzeczywistość nam się bardzo zmieniła, także w świecie biologii, botaniki, w klimacie.

Natomiast czuję się sprowokowany, żeby podbić pytanie o to, jak chcemy chronić przyrodę. Czy będziemy ją chronić, zamykając? Czy raczej będziemy edukować? Państwo macie tu w środku Łodzi perełkę w skali Europejskiej – Rezerwat Polesie Konstantynowskie. Nie ma czegoś takiego nigdzie w Europie.

Rezerwat przyrody Polesie Konstantynowskie – leśny rezerwat przyrody utworzony uchwałą Magistratu Miasta Łodzi z dnia 23 maja 1930 roku. Ponownie uznany za obiekt chroniony w 1954 roku zarządzeniem Ministra Leśnictwa. Jest jednym z najstarszych rezerwatów w Polsce i pierwszym rezerwatem w kraju utworzonym w granicach administracyjnych miasta. Jego powierzchnia wynosi 9,8 ha. Stanowi on fragment dawnej Puszczy Łódzkiej. Jest to jeden z dwóch rezerwatów na terenie miasta Łodzi (drugi to „Las Łagiewnicki”).

To jest coś, czym Łódź powinna się chwalić, a jest to miejsce wygradzone i zamknięte. Oczywiście ja nie apeluję, żeby otworzyć wszystkie drzwi na oścież i wpuszczać wszystkich bez limitu, ale jak można nie wykorzystać takiego potencjału?

To jest taka łódzka Puszcza Białowieska. Może zatem warto zrobić jakiś punkt widokowy. Opowiedzieć o tym miejscu. Tam jest aktualnie problem, bo spada poziom wód gruntowych, co powoduje, że możemy edukacyjnie opowiedzieć całą łódzką zieloną retencję w oparciu o Polesie Konstantynowskie, uświadamiając jednocześnie mieszkańców i zyskując sojuszników do ochrony tego przyrodniczego dziedzictwa. Aż kusi, żeby zrobić tam kilka projektów renaturyzacyjnych. Mówię to, bo w ramach badań mikro-lasu szukam najstarszych lasów koło Łodzi i nagle spotykam taką perłę, a nawet nie ma tam tablicy informacyjnej. Może warto zobaczyć, jak to robią gdzieś indziej. Ja w e-booku opisuję przykład z Francji. Pierwszy obszar miejski Natura 2000. Cały teren miał być rezerwą inwestycyjną pod autostradę, której przez 40 lat nie udało się wybudować. Teren zyskał taką wartość przyrodniczą, że dzisiaj nie ma zgody, żeby wpuszczać tam ludzi. Francuzi zrobili punkt widokowy, takie obserwatorium z pawilonem edukacyjnym o tym miejscu. Odbывают się tam konferencje i wydarzenia, organizowane są też wycieczki raz w roku na około 300-400 osób. Z pewnością możecie sobie państwo wyobrazić, jak bardzo rośnie zainteresowanie miejscem, które jest owiane taką aurą tajemniczości.

Kinga Zinowiec-Cieplik: To ja opowiem o betonie bio-receptywnym. Główne wejście na kopiec to jest alejka ze schodami. Ponieważ jest to jednak park miejski, należało umożliwić wejście także osobom, które nie mogą poruszać się po schodach: osobom na wózkach, czy rodzicom z wózkami. Pojawił się problem ze zrobieniem podejścia o odpowiednim spadku, w związku z tym trzeba było rozciąć skarpe. Jednak ze względu na duży spadek trzeba było podeprzeć ściany przekopu betonem, żeby zabezpieczyć osuwanie się gruntu. Więc jest to rozcięcie, jest wyłożona betonem podłoga, która rozpiera te ściany. Zaistniało pytanie, co zrobić, żeby te ściany nie były martwe, aby wspały mimo wszystko przyrodę, obrosły roślinnością i żeby zachować w nich trochę wilgoci, ale też żeby tę wilgoć odprowadzać. Wiemy przecież, że woda zamarzająca w betonie będzie go rozkruszać i w końcu może go zniszczyć na tyle, że konieczne będzie odnawianie. Zrobiono więc bruzdy, jakbyśmy przejechali dłonią po miękkim betonie, tylko te bruzdy są głębsze. One rzeczywiście były ręcznie wypracowywane przez robotników. W te bruzdy powkładany jest gruz. Robotnicy podobno na tyle osobiście się zaangażowali, że potem chwalili się projektantom „swoimi” częściami, co im się udało stworzyć. Teraz ten wybrzdawiony beton o bardzo ciekawej formie przestrzennej, ma wystarczający spadek w dół, żeby odprowadzać wodę. Następnie beton ten pokryto mieszanką zblendowanego jogurtu z mchem, czyli mówiąc krótko, użyto starego przepisu na mszaste graffiti; i beton zaczął zarastać. Jak tam bywam czasami, to udaje mi się już znajdować jakieś roślinki, co jest dowodem na bio-receptywność tego betonu. Co ciekawe, profesor Marcos Cruz z Bartlett School of Architecture Uniwersytetu w Londynie prowadził zaawansowane badania laboratoryjne nad wynalezieniem betonu bio-receptywnego. A nasi projektanci po prostu „wzięli i zrobili”. Skądinąd Cruz przyjechał w tym roku do Warszawy i oczywiście pobiegł z Maćkiem Kaufmanem, współautorem projektu, oglądać nasz beton. Powiedział: „no, rzeczywiście, ja próbowałem, a wy zrobiliście”. Oczywiście miał uwagi, ale ewidentnie jest to sukces. Dlaczego projektanci bali się betonu? Sam beton jest materiałem znanym od wieków i nie ma w nim nic złego. Problem w tym, że dzisiejsza produkcja betonu uwalnia ogromne ilości CO₂ do atmosfery. Ten ślad węglowy jest potężny, dlatego wszyscy starają się beton „odchudzić”, jakoś inaczej go produkować. Był to więc mało ekologiczny element projektu, a okazało się, że projektanci odwrócili sytuację i przekształcili duży problem w ogromny potencjał.

Trzeba też wspomnieć, że ten park budowano z wielką ostrożnością wykonawczą. W pewnym miejscu jest zrobione przejście w formie kładki metalowej wśród drzew. Zauważyłam, że jakimś cudem korony drzew nie zostały zmasakrowane, więc zapytałam architekta, jak to było zrobione. Odpowiedział: „cóż, musieli lawirować”, co w połączeniu z faktem, że głównym elementem konstrukcyjnym jest tam wielka rura, dało obraz istnego „tańca na rurze”. To są ciekawostki, które budują historię projektu, ale faktycznie wszystkim zależało na tym, żeby zachować to, co jest.

Projektantki z topoScape chciały roślinność renaturalizować, to prawda, ale pojawił się inny problem – szkółki ogrodnicze nie produkują roślin „niepodkręconych” estetycznie. Dostępna jest masa odmian w wielu kolorach, a dziewczyny potrzebowały rodzimych bezodmianowych gatunków i faktycznie znalazły je dopiero w szkółkach leśnych. Potem pojawiła się kwestia, jak sadzonki wysadzać, żeby naturę zainicjować, ale nie zrobić rabatki. Znalazły sposób, o którym opowiadają, że było to skrzynkowe sadzenie, czyli do skrzynki ładowano dowolnie sadzonki i później sadzono taki misz masz. A teraz, jak się chodzi po parku, to w ogóle nie widać, gdzie były te nasadzenia. Jest jeszcze jedno osiągnięcie, z którego projektanci kopca są dumni. Kasper opowiadał o gruzie, to jest niesamowita rzecz i następny wątek w rozmowie o architekturze – udało się odwrócić narrację o tym miejscu, odejść od martyrologii powstańczej na rzecz opowieści o odbudowie Warszawy, o podnoszeniu jej z gruzu. Ta zmiana narracji jest, moim zdaniem, niesamowita i bardzo pozytywna.

Magda Gałkiewicz: Jestem pod ogromnym wrażeniem. Zastanawiam się, skąd w ogóle tak wysoka świadomość poszczególnych interesariuszy i osób, które uczestniczyły w tym projekcie? Kto był jego inicjatorem? Czy to wyszło od miasta? Miasto takie warunki nałożyło?

Kinga Zinowiec-Cieplik: Tak, to był konkurs. W konkursie prawie zawsze uzyskuje się lepszą jakość projektu niż w wyniku zamówienia, ponieważ projektanci walczą i wyciskają z siebie najbardziej kreatywne pomysły, czyli proponują coś, co będzie lepsze, bardziej wartościowe, o wyższej jakości. Te dwie pracownie: topoScape i Archigrest, to są co prawda topowe pracownie warszawskie, ale to nie jest tak, że inni projektanci nie są obecnie świadomi. Architekci krajobrazu są świadomi i mają pomysły, jeżeli inwestor im pozwoli. Sądząc po Warszawie, wydaje się, że kierunek renaturalizacji i ochrony już jest na dobre obecny w Polsce. Jest jeszcze jeden park na Żeraniu robiony przez tych samych projektantów w tym samym duchu – bardzo nieinwazyjny: ścieżka, ławeczka i w zasadzie to wszystko. W Łodzi też są tacy projektanci, żeby była jasność.

Magda Gałkiewicz: My oczywiście mamy parki leśne i projekty ochrony przyrody, natomiast cała ta historia jest dla mnie niesamowita i bardzo inspirująca.

Kasper Jakubowski: Ja jeszcze dodam istotny szczegół do tej opowieści. Faktem, który pomógł na pewno na początku, jest sposób funkcjonowania warszawskiego Zarządu Zieleni – tam są dwa działy: dział projektowy architektów krajobrazu i dział przyrodniczy. One funkcjonują na bardzo partnerskich zasadach. Ponadto Warszawa przez wiele lat wykorzystywała fundusze unijne do projektów renaturyzacji. Miasto dodatkowo wdrożyło pilotaż w postaci pierwszego parku – Park Fosa i Stoki Cytadeli, gdzie wypróbowywano proekologiczne rozwiązania, których część powielono na kopcu. To znaczy, że była świadomość i wola, i to się sprawdziło.

Magda Gałkiewicz: Łódź oczywiście także pozyskuje środki unijne. Ostatnio pojawił się dość głośny projekt wyciągnięcia z ziemi rzeki Lamus. To były środki pozyskane bezpośrednio z Unii Europejskiej z pominięciem poprzedniego rządu, więc to też było przetarcie szlaków. Natomiast chciałam powiedzieć więcej o Polesiu Konstantynowskim, bo to jest bardzo dobry przykład, jak czasem trudno współpracować z różnymi jednostkami administracji publicznej na szczeblu samorządowym czy wojewódzkim i jakie to niesie ze sobą konsekwencje nawet dla tak istotnych terenów. Wyobraźcie sobie państwo, że w rezerwacie zostały bardzo wadliwie wykonane ścieżki. Te ścieżki spowodowały ten problem z retencją, o którym Kasper wspominał, czyli zjawisko usychania jednej części rezerwatu, podczas gdy druga jego część jest zalana wodą i gnije. Dzieje się tak, ponieważ ścieżka zatrzymała przepływ wody z jednej strony rezerwatu na drugą.

Aktywiści na nielegalu, bo to przecież jest obiekt chroniony przez konserwatora, widząc co się dzieje i nie widząc reakcji ze strony miasta, sami wykonali przepusty, żeby ta woda przepływała. Natomiast zrobili to tak, jak umieli, i sytuacja nie została uzdrowiona. To miało miejsce jakieś 10 lat temu. Do tej pory nie podjęto skutecznych działań naprawczych. Mamy bardzo dobrze przygotowaną ekspertyzę, od marca 2024 temat leży na biurku łódzkiego konserwatora zabytków i do tej pory nie została wydana zgoda na przebudowę tej ścieżki. To, co robi Zarząd Zieleni Miejskiej, czyli czyszczenie przepustów, nie jest wystarczające i rezerwat po prostu nam ginie. Za chwilę nie będzie czego ratować. Trwają też rozmowy na temat umożliwienia obserwacji tego miejsca, ale na pewno nie zdecydujemy się, by je otworzyć. Natomiast w pierwszej kolejności musimy ten teren uratować przed zniknięciem. Chciałabym, jeśli pozwolicie, otworzyć jeszcze jeden wątek. Rozmawialiśmy o certyfikacji budynków, ale zastanawiam się, czy w tych certyfikatach jest w ogóle miejsce na uwzględnienie nieludzkich mieszkańców miasta, na przykład ptaków? Czy certyfikowanie w ogóle bierze pod uwagę ten aspekt?

Marcin Gawroński: Tak. Jak wspominałem, każdorazowo powołany przyrodnik, ekolog, bada stan zastany w lokalizacji wybranej pod inwestycję. Jeśli więc zauważa, że w okolicy są określone gatunki ptaków czy owadów, to właśnie tego dotyczą rekomendacje, które daje. Wiele razy mieliśmy projekty, przy których dawaliśmy rekomendacje umieszczenia specjalnych kropek, dla ochrony ptaków, bo na sąsiednich biurkach widzieliśmy wypadki ptaków rozbijających się o szyby. Fauna jest jak najbardziej brana pod uwagę w tych rekomendacjach.

Magda Gałkiewicz: To jest bardzo dobry sygnał, bo wątek, który chciałam otworzyć, to jest wątek miasta wielogatunkowego. To jest coś, co jeszcze w projektowaniu miast niespecjalnie się pojawia, bo nie odnosi się tylko do budynków, ale obejmuje w szerokiej perspektywie kształtowanie krajobrazu. Powszechnie znany jest „problem z dzikami”. Tyle że to my, ludzie, postrzegamy tę sytuację jako problem, po tym jak zajęliśmy tereny tych zwierząt – one po prostu nie mają się gdzie podziać. Strzelamy do nich w lasach, więc uciekają tam, gdzie się nie strzela, czyli do miasta. Fakt faktem, że budzą niepokój wśród mieszkańców, choć to w dużej mierze jest znów kwestia edukacji. Dzik sam z siebie nie zaatakuję, wyjątkiem jest obecność psa. Niemniej miasta borykają się z tym problemem i przedsięwzięte są różne badania i eksperymenty. Wiem, że Poznań rozpoczął takie projektowanie miasta, żeby z dzikami jakoś współegzystować. To oznacza na przykład nieobsadzanie na obrzeżach miasta dębów, które dają żołędzie uwielbiane przez dziki. Nieobsiewanie kukurydzą obrzeży miast tam, gdzie są korytarze ekologiczne, którymi dziki mogą wchodzić do miasta. Można stawiać różnego rodzaju zapory zapachowe czy dźwiękowe, które zniechęcają zwierzęta do wchodzenia. Wszystkie te sposoby możemy stosować, a w mojej ocenie w ogóle jeszcze nie funkcjonują w świadomości osób projektujących miasta. Dlatego jestem przekonana, że musimy zacząć uwzględniać spojrzenie na miasto i na projektowanie przestrzeni, które zakłada, że to jest przestrzeń zamieszkania wielu gatunków, bo ten problem nie zniknie, jeśli to w ogóle można nazwać problemem. W sytuacji, w której zabieramy zwierzętom kolejne tereny zielone, temat na pewno będzie się rozszerzał.

Małgorzata Jabłońska: Zastanawia mnie poruszony tu temat wielogatunkowości, bo dotąd wspomniałaś o dzikach, ptakach, czyli w pewnym sensie zwierzętach, które „lubimy” albo „lubimy na nie popatrzeć” albo uznajemy za „prawdziwe” zwierzęta. A ja chciałam zapytać o sytuację współżycia z tymi gatunkami, z którymi jest nam ciężko współżyć – myślę o kleszczach, komarach czy osach. Bo tutaj znów zderzają się przeciwstawne interesy. Kiedy mówimy o konieczności niekoszenia pewnych miejsc w miastach, to stoi w kontrze do potrzeb bezpieczeństwa dzieci albo psów. Co ze zwierzętami, które są bardzo zdomowione i jakoś zależne od człowieka, ale postrzegamy je jako uciążliwe? Żyją w miastach gatunki, które ewoluowały do życia blisko nas, a teraz sytuują się w naszym postrzeganiu gdzieś na pograniczu szkodnika. Tu mam na myśli szczury, ale ponieważ mieszkam w Krakowie, to wiem, że stosunek do gołębi także jest bardzo ambiwalentny.

Magda Gałkiewicz: Jako ludzie mamy tendencję do określania zwierząt czy roślin jako szkodliwe albo przydatne. To jest ludzki podział, który jest podziałem sztucznym. W przyrodzie nie ma szkodników, ponieważ każdy element jest niezbędny dla ekosystemu. Wydaje mi się, że trzeba stwarzać warunki, żeby zwierzęta generalnie mogły się u nas dobrze czuć. Jeśli chodzi o komary, to istnieją przecież ich naturalni przeciwnicy – jerzyki i nietoperze, które mieszkają w miastach. Tylko niestety bardzo często zdarza się tak, że przy rewitalizacji budynków, chociaż jest to niezgodne z prawem o ile inwestor nie wystąpi o odstępstwo od nakazów ustawy o ochronie przyrody, siedliska tych ptaków są niszczone przez zakrywanie otworów wlotowych. Jerzyki radzą sobie z komarami, bo to jest ich pokarm, więc każda próba ograniczenia jakiegoś gatunku, kończy się tragicznie dla innego. Znamy historyczny przykład wielkiego głodu w Chinach.

Wielki głód w Chinach, który miał miejsce w latach 1958-1962, był spowodowany m.in. kampanią tępienia wróbli, nakazaną przez Mao Zedonga. Wróble uznano za szkodniki, ponieważ miały rzekomo zjadać plony. W rzeczywistości, eksterminacja wróbli doprowadziła do rozprzestrzenienia się szkodników, w tym szarańczy, które zniszczyły uprawy i przyczyniły się do ogromnego głodu, w wyniku którego zginęło kilkadziesiąt milionów ludzi.

Wydaje mi się niezwykle istotne takie projektowanie miast, które pozwoli uznać tych nieludzkich mieszkańców za równoprawnych. Zresztą one też nie mieszkają w miastach tylko wykorzystując przestrzeń. Każdy gatunek przekształca daną przestrzeń pod siebie, żeby móc egzystować i wydaje mi się, że takie otwarte podejście do projektowania miasta musi uwzględniać nieludzkich mieszkańców i musi dawać im tutaj przestrzeń do życia.

Kinga Zinowiec-Cieplik: My musimy nauczyć się z tymi nieludzkimi mieszkańcami współistnieć. Jak sobie powiemy, że chcemy wyjechać na wakacje w miejsce, gdzie nie ma kleszczy, to pozostanie nam niewiele miejsc w Polsce. Musimy rozumieć przyrodę i umieć z nią funkcjonować. Oczywiście zgodzę się, że w przypadku plagi szczurów konieczna jest interwencja. Natomiast w przyrodzie rzeczywiście jest tak, i dopiero zaczynamy to rozumieć, choć i tak wszystkiego nie zrozumiemy, bo przyroda jest dynamiczna – że jest cykliczność i współzależność poszczególnych gatunków. Jeżeli mamy nadmiar jakiegoś gatunku, potrzebujemy drapieżnika, który będzie tę liczebność kontrolował. Natomiast ja spotkałam się niestety z fobią przyrodniczą wśród mieszkańców miast. Rozmawiałam ze studentką o pnączach na elewacji. Pnącze rośnie szybko, jest niewymagające, daje dużą masę zieleni, a jak się coś stanie, to szybko odrasta, więc to jest naprawdę świetna rośliność dająca dużo radości w mieście. Ale opinia studentki, która projektowała budynek na dyplom, brzmiała: „Pnącza? Nie. Bo to robaki, myszy. Nie, nie, nie”. Spotkałam się też z tym u dzieci moich znajomych, które w najczystszej jeziorze polski się nie wykąpią, z powodu glonów. Glony, czyli brud, choć na trzy metry w dół widać, co jest w wodzie. Taka postawa jest niebezpieczna, bo pokazuje, że osoby te nie rozumieją przyrody i się jej boją. W tym wymiarze edukacja jest konieczna i pilnie potrzebna. Jeżeli będziemy się bać przyrody, to o nią nie zadamy. Dotyczy to w takim samym stopniu dużych zwierząt jak dziki. Przecież ludzie głupiej na widok małych warchlaczków i karmią je, bo takie słodkie, potem boją się wyjść z domu, kiedy dziki już dorosłe, oswojone, natarczywie domagają się jedzenia, do którego przywykli.



Magda Gałkiewicz: To też kwestia odgradzania i zamykania śmietników i ogródków działkowych, które są na obrzeżach miasta. Dostępność jedzenia w tych miejscach to jest także pewien rodzaj dokarmiania. Nie powinniśmy się zatem dziwić, że dziki przychodzą do nas.

Kasper Jakubowski: Dodam tylko, że wspomniane konflikty da się w wielu przypadkach szybko rozwiązać i połączyć za i przeciw. Wobec komarów rzeczywiście bardzo dobrym rozwiązaniem jest zakładanie nietoperzarni i uwzględnianie miejsc dla jerzyków. Na ulicy Koszalińskiej w Poznaniu powstało osiedle, na którym obok wjazdu do parkingu podziemnego jest wlot do nietoperzarni. Bardzo ciekawa inwestycja prośrodowiskowa, która może stać się standardem. Natomiast bardzo ważne jest słowo „oswajanie”. Ja ciągle uprawiam „chaszczobieganie” po wszystkich miejskich nieużytkach i łapię bardzo mało kleszczy. Natomiast moi znajomi w Krakowie łapią kleszcze na placu zabaw, trawniku skoszonym na dwa centymetry, we własnym ogrodzie, gdzie jest trawa z rolki. Bardzo ważne jest osvajanie polegające na obserwowaniu. Oczywiście w naszych warunkach trzeba się zaszczepić na odkleszczowe zapalenie opon mózgowych. Trzeba po prostu uznać, że jest dużo kleszczy, bo jest to wynik zmian klimatycznych. Pani pyta o koszenie i niekoszenie trawników. Ja też nie jestem za tym, żeby wszystkie trawniki przestać kosić. Jako projektant zawsze staram się zachować proporcje między skoszonym a nieskoszonym, bo to jest również kwestia poczucia bezpieczeństwa. Ktoś, kto rzeczywiście ma obawy, nie musi wchodzić w łąkę kwietną. Może pozostać w przestrzeni bezpiecznej, a nawet mieć minimum nawierzchni utwardzonej. Moim zdaniem, żeby nie przegrać tematu ekologii w mieście, nie można być zbyt radykalnym. Nie może być tak, że wahadło będzie nam się wychylać w jedną bądź drugą stronę. Rzeba jednak przyznać, że jest wiele konfliktów pozorowanych. W jednym z miast na północy Polski dyrektor Zarządu Zieleni zapowiedział kategoryczną wycinkę wszystkich drzew owocowych w mieście, bo problemem są dziki i osy. Dzisiaj wiemy, że drzewa owocowe są ważne. Sam projektowałem sady miejskie w osiedlu deweloperskim, gdzie ludzie społecznie sadzą drzewa. Gleba w miastach jest coraz czystsza, możemy sadzić antonówkę w środku osiedla. Na pytanie o osy odpowiadam – zamknięty kompostownik. Niech będzie zarządca, który te jabłka, co spadają dwa razy w tygodniu pograbi do kompostownika. Jeżeli są dziki – to wygrodźmy ten teren przeciwko dzikom.

Magda Gałkiewicz: Niestety wiele miast próbuje rozwiązać ten problem przez odstrzał, co jest skandaliczne. Wybijanie zwierząt nie może być naszą odpowiedzią na wszystko. Musimy myśleć, jak inaczej sobie radzić. To dotyczy także kleszczy, które są i będą, bo przecież nie znikną. Ostatnio podeszła do mnie koleżanka z rady ze stwierdzeniem, że musimy coś zrobić z kleszczami, że trzeba zrobić jakieś chemiczne opryski, żeby je wybić. Rzeczywiście bardzo dużo jeszcze przed nami edukacji, dyskusji i podnoszenia świadomości.

Dominika Krzyżanowska: Tych kilka ostatnich wypowiedzialnych przez panią słów, to chyba są słowa klucze do tego, o czym rozmawiamy. Żeby coś się zmieniało albo żebyśmy się elastycznie dostosowywali, musimy się edukować i oswajać. Słyszałam tu o oswajaniu człowieka z naturą, z przyrodą i myślę, że to jest rozmowa o relacjach. Myślę, że w tych nieużytkach, na gruzach, w zielonych dziurach, w miejscach, gdzie zieleń naturalna, dzika do nas krzyczy, jest jeszcze bardzo duży teren do zagospodarowania. Mam na myśli taki obszar, który jest związany z wolnością, zabawą, z nauką od małego. Chciałabym zwrócić uwagę na to, że przestrzeń do wolnej, naturalnej zabawy połączonej z dużą dawką edukacji w obszarze natury może się sprawdzić znakomicie w zakresie edukacji przyrodniczej. Z panem Kasprem mieliśmy okazję się spotkać w Rezerwacie Dzikich Dzieci, dlatego o tym mówię. Wszystkie naturalne place zabaw, to przestrzenie, w których te najmłodsze pesele mogą w sposób bardziej naturalny przyswajać wiedzę o naturze. Tym sposobem relację z naturą będą miały w krwiobiegu. To jest niesamowita wiedza, którą ja w tej chwili jako czterdziestokilkuletnia osoba przyjmuję jako nową, bo nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Dlatego myślę, że dbanie o naturę, to edukacja od najmłodszych lat. Nie mówię tu o niczym odkrywczym, natomiast to, postrzegam jako temat do zadbania dla siebie, to są właśnie przestrzenie naturalne i przestrzenie zabawy dla dzieci.

Naturalny plac zabaw to przestrzeń do zabawy, która w jak najmniejszym stopniu ingeruje w otaczającą ją przyrodę i wykorzystuje naturalne materiały, takie jak drewno, kamień, piasek, woda i roślinność. Zamiast standardowych, plastikowych i metalowych konstrukcji, naturalne place zabaw oferują dzieciom swobodę w odkrywaniu przestrzeni i tworzeniu własnych zabaw, rozwijając przy tym ich kreatywność, umiejętności motoryczne, sensoryczne i społeczne.

Rezerwat Dzikich Dzieci to wydzielony obszar ochrony środowiska zabawy dziecięcej inspirowany ideą Adventure Playground – Przygodowych Placów Zabaw. Pierwsza, pilotażowa i jedyna tego typu inicjatywa w Polsce odbyła się po raz pierwszy w sierpniu 2017 (kolejne edycje odbywają się corocznie latem), zdobywając zaufanie mieszkańców i wsparcie z Budżetu Obywatelskiego w Lublinie.

Janusz Adam Biedrzycki: Dopowiem kilka słów w ramach anegdoty. Kiedyś spotkałem się z byłym już kierownikiem Zarządu Zieleni. Zapytałem, czemu tak intensywnie koszą trawniki, skoro jest susza. Odpowiedział, że dzwonią do nich najczęściej starsze panie, które twierdzą, że im się wnuczki gubią w trawie.





Janusz Adam Biedrzycki – aktor, tancerz, choreograf, reżyser, instruktor teatralny. Absolwent Wydziału Humanistycznego ze specjalizacją Kulturoznawstwo, folklorystyka, etnologia, teatrologia i filmoznawstwo na Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie. Absolwent Zarządzania kulturą Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Łódzkiego. Współzałożyciel i członek Stowarzyszenia Teatralnego CHOREA. Członek kursu „Pedagog w Teatrze” organizowanego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2010 i 2014), Urzędu Miasta Łodzi (2013, 2017 i 2022). Współtwórca podręcznika Trening fizyczny aktora - od działań indywidualnych do zespołu (PWSFTViT, IMIT 2015). Pomysłodawca i koordynator projektu „Laboratorium Kreatywnego Działania” (2019, 2020, 2021, 2025). Od 2014 nieprzerwanie prowadzi młodzieżową grupę teatralną działającą w Teatrze CHOREA. Reżyser i choreograf wielu spektakli i działań performatywnych. Pomysłodawca oraz kurator cyklu spotkań dyskusyjnych Ekologie Kultury (2020–2025) jak i wielu działań ekologicznych przy Fabryce Sztuki w Łodzi. Romantyczny racjonalista, pesymistyczny optymista, wierzący, że ten świat da się zmienić. Jej Perfekcyjność Ekstrawertyczna Pani Domu. Niespełniony Miejski Badylarz.

Głos z sali: To ja pozwolę sobie na zupełnie inną anegdotę. Kiedyś robiłam projekt i musiałam go zaopiniować w urzędzie melioracyjnym, to też się inaczej teraz nazywa, ale nieważne. Też było o koszeniu, tylko o koszeniu w śniegu, bo zapytałam, dlaczego jeżdżą na kosiarkach na początku grudnia. Okazało się, że powodem jest rozdział pieniędzy na dodatkowe koszenie, który odbywa się we wrześniu. Zanim te pieniądze spłyną, jest połowa listopada, zanim znajdą wykonawcę, jest połowa grudnia, a pieniądze są przeznaczone na ten konkretny cel i na ten konkretny rok. Koniec, kropka. Procedura. To jest obłąd. Często jest tak, że nawet urzędnicy się skarżą. Ale pieniądze wydać trzeba i nie można ich przełożyć na następny rok. Trzeba wydać do końca roku, bo inaczej w następnym roku nie dostanie się tych pieniędzy w takiej ilości. Teraz oczywiście mamy możliwości techniczne – znam inwestycje, gdzie sadzono drzewa w grudniu i nawet jakoś się przyjmowały, ale to wymaga rzeczywiście dużego kombinowania od wykonawców. Jestem przekonana, że sytuacje koszenia w upał, też są wynikiem procedury, która nakazywała dwa razy skosić. Skoro trzeba dwa razy, to kosi się dwa razy, bo trzeba tę pracę odebrać i wypłacić za nią publiczne pieniądze. Ten brak elastyczności niestety powoduje niekiedy bardzo dziwne sytuacje.

Zofia Smolarska: Podobny przypadek był w Krakowie. Stowarzyszenie Kraków dla Mieszkańców wystosowało petycję w sprawie niekoszenia trawy podczas suszy. Jedna z działaczek zauważyła, że koszone gołą ziemię, bo trawy de facto już nie było, jako że została skoszona kilka dni wcześniej. Okazało się, że firma miała zapłacone za dwa koszenia z góry, a taniej i łatwiej jest zapłacić ekipie za pracę rozłożoną w ramach jednego tygodnia niż kilku miesięcy.

Kinga Zinowiec-Cieplik: To jest bardzo ciekawy wątek proceduralno-formalnoprawny, który dotyczy też tematu odpowiedzialności za budżet, który jest budżetem publicznym. Skoro firma podjęła się danego zadania, wie, że te pieniądze zarobi. Ta firma ma pracowników na utrzymaniu. Skoro urząd w każdej chwili może powiedzieć „nie kosimy”, to znaczy, że zabierze te pieniądze czy wypłaci za brak koszenia, czy przesunie na później? To są wbrew pozorom bardzo trudne dylematy. Zrobię tu dygresję i opowiem państwu anegdotę, która daje dużo do myślenia o tym, jak patrzymy na budżet publiczny i jego wydawanie. Francuska pracownia Lacaton & Vassal, która jakiś czas temu zdobyła Nagrodę Pritzкера, na początku tego wieku robiła projekt dla miasta Bordeaux. Wygrali przetarg na projekt skweru i modernizację. Zrobili wszystkie analizy, wszystko spenetrowali. Przyszli do urzędu wynikami analiz wskazującymi, że nie należy nic zmieniać. Żeby była jasność – zostali w pełni wynagrodzeni.

Nagroda Pritzкера (ang. Pritzker Architecture Prize) – amerykańska nagroda architektoniczna przyznawana corocznie architektom, którzy mieli znaczący wkład w rozwój środowiska człowieka. Nagroda honoruje żyjącego architekta, który poprzez swoją sztukę, talent, wizjonerstwo oraz konsekwentne i znaczące zaangażowanie, wzbogaca otoczenie człowieka i jego środowisko budowlane poprzez swoją architekturę. Laureat otrzymuje 100 tys. USD i brązowy medal.

Analizy zostały uznane za prawidłową realizację projektu. W tej historii chodzi w równej mierze o umiejętność przekazania na forum publicznym informacji: był taki i taki budżet, ta firma wygrała, takie są wnioski, zapłaciliśmy za tę pracę, i koniec. Konia z rządem temu, kto by w Polsce zrobiłby coś takiego. Zaraz cała masa ludzi skoczyłaby takim urzędnikom do gardła, bo wydali pieniądze za coś, czego nie dostali. To są wbrew pozorom bardzo trudne sytuacje. Wiem, że zdarzają się absurdy, ale generalnie idziemy w dobrym kierunku. Z drugiej strony pamiętam, jak w pewnej dużej inwestycji publicznej, to chyba były gazoporty w Świnoujściu, doszło do opóźnienia. Na pytanie, dlaczego nie wzięli specjalisty, który by to oszacował, człowiek odpowiadający na pytania powiedział: „no, ale ekspert kosztuje i to byłaby niegospodarność”. No comments.

Kasper Jakubowski: Chciałbym nawiązać do tego, co pani mówiła o przestrzeni do zabawy. Ten głos wydaje mi się bardzo ważny także dlatego, że łączy kropki. Mówiliśmy o potrzebach istot nieludzkich i perspektywie miast. Pani wniosła perspektywę dzieci i zachowania przestrzeni dla nich. Wydaje mi się, że takie naturalne place zabaw w stylu Rezerwatu Dzikich Dzieci powinny być po prostu wszędzie, bo to jest najlepsza inwestycja w edukację, zdrowie i integralny rozwój dzieci. Przy okazji festiwalu In Garden, moje dzieci znikwały w tych przestrzeniach od ósmej do szesnastej. Tam dzieci uczą się naprawdę ważnych kompetencji, do czego kontekst przyrodniczy nadaje się naprawdę najlepiej. Wciąż jeszcze spotykamy się z argumentacją przeciwstawiającą rozwój gospodarczy ochronie przyrody – dlaczego chronimy dany teren dla „żabek”, „ważek”, co to kogo obchodzi, trzeba się przecież rozwijać. Tymczasem pani głos doskonale ujął tę perspektywę rozwoju. W Krakowie, tworząc spacer w Kamieniołomie Libana, staraliśmy się przekonywać, że nie chronimy terenu tylko dla traszek i ważek, ale z myślą o dzieciach. Edukowaliśmy tam 900 dzieci z krakowskich przedszkoli i mamy na dowód zdjęcia ukazujące zachwyt tych dzieci. Był to jeden z argumentów za objęciem ochroną całego terenu.

Dlatego mówiłem o konieczności, choćby minimalnego dostępu do terenów chronionych, bo jestem przekonany, że to są tereny ocalone także dla nas i z myślą o dzieciach. To jest powrót do korzeni, do dzieciństwa. Dzisiaj wymyślamy pewne rzeczy na nowo, bo na nowo musimy zbudować więź z naturą i ja nie wiem, czy to nie jest najważniejszy argument, żeby chronić Ziemię w skali S, M, L, XL. Należy dać dzieciom przestrzeń, żeby uwolnić je od smartfonów, pozwolić im się wybiegać, powspinać po drzewie, twórczo ponudzić. One to kochają, mają to w DNA. W praktyce oznacza to, że potrzebują wielopniowych, powyginanych drzew, których w parkach rewitalizowanych niestety nie ma. Można połączyć ochronę półdzikich terenów z projektowaniem dla dzieci. Anna Komorowska stworzyła koncepcję Nie-placów zabaw™. To w dużym skrócie teren, gdzie nie projektujemy urządzeń z nawierzchniami bezpiecznymi, tylko są patyki, kamienie, a czasem nie ma nic zorganizowanego. W Berlinie to się nazywa NER, czyli Naturerfahrungsraum. W tej przestrzeni zapewnia się minimum bezpieczeństwa, a dzieci mają same zorganizować sobie zabawę, a czasem ponudzić się twórczo. Ale dzieci się nie nudzą, bo z wody, z patyków robią bazy i okazuje się, że to jest najlepszy plac zabaw.

Fragmenty książek Anny Komorowskiej na temat Nie-placów zabaw™ można znaleźć tu:

Jeśli nie plac zabaw, to co?,

Ścieżka bosych stóp. Trzy drogi do naturalnych placów zabaw

„Kuchnia błotna. 20 przepisów na naturalne place zabaw”

Więc może nie ma potrzeby wymyślania koła na nowo i wywarzania otwartych drzwi. Możemy nawiązać do istniejących koncepcji Rezerwatu Dzikich Dzieci lub Nie-placu zabaw™. Wyobrażam sobie, że coś takiego mogłoby powstać dosłownie na każdym osiedlu. Być może trzeba postulować o zapisy w planach ogólnych i miejscowych. My w ogóle nie uwzględniamy perspektywy dzieci w projektowaniu! Gdybyśmy uwzględniali, nasze miasta byłyby bardziej bioróżnorodne, byłyby bardziej zielone, byłyby zdrowszymi miastami do życia dla wszystkich. Tyle tylko że dzieci nie biorą udziału w projektowaniu, ich głos się nie słyszy. W Zielonkach pod Krakowem przekonaliśmy gminę do zrobienia Stacji Natura: Żabie Doły. Na stole był fatalny projekt rewitalizacji. Zaproponowałem, żeby to zrobić inaczej, pokazałem przykłady z Wielkiej Brytanii, Warszawy, uparłem się, aby wykorzystać zalegające tam martwe drewno (ang. dead wood). Argumentem była między innymi walka ze smogiem. Jako fundacja przyszliśmy z grantem na 10 tysięcy złotych, zrobiliśmy tablicę informacyjną o martwym drewnie, żeby każdy mógł zobaczyć, jak pięknie gnije i ile życia podtrzymuje. Uporządkowaliśmy i minimalistycznie zagospodarowaliśmy cały teren z pomocą gminy. Powstał pomost obserwacyjny, a cały teren jest użytkowany chętnie przez mieszkańców. Część terenu się kosi częściej, a części nie kosi się wcale. Co nieco wycięliśmy, żeby wpuścić światło. Powstały kładki, schody terenowe. Posadziliśmy kilka drzew owocowych i rodzimej flory. Nic więcej. Proszę państwa, mamy mnóstwo recenzji ludzi, którzy mówią, że to jest najlepszy teren pod Krakowem, bo jest bezpiecznie wygradzony, można przyjechać, tylko trzeba dzieci w wodery ubrać i weekend jest zagospodarowany. Dzieci wracają zmęczone, ale szczęśliwe. Może nie uwzględniamy najprostszych potrzeb. Większość projektów dzisiaj robi się, żeby było „widać”, trzeba się pokazać, ma być wylany beton, mała architektura z katalogu premium. A my i nasze dzieci potrzebujemy wrócić do korzeni. Oczywiście, że jest również miejsce na ogrody historyczne i zielen typy premium, niech powstanie za 10 milionów złotych kilka parków kieszonkowych, ale stwórzmy też 10 dzielnicowych parków proekologicznych, i to już będzie wartość dodana.

Ostatnia rzecz – bo nie dam państwu tego komfortu, żebyśmy nie otworzyli jeszcze jednego nowego wątku – wątek torfowego ogrodnictwa. 99% inwestycji w architekturze krajobrazu, w ogrodnictwie, to są inwestycje antyśrodowiskowe. Co z tego, że są „zielone”, skoro my niszczymy środowisko i klimat, używając torfu? Ja w moich projektach deweloperskich odchodzę od torfu. Wykonawcy dostają szalę, bo nie wiedzą, jak to specyfikować. Tymczasem istnieje cudowne rozwiązanie – kompost z lokalnej kompostowni. Domykajmy cykle, twórzmy gospodarkę obiegu zamkniętego. Łódź na pewno ma świetną kompostownię. Jeżeli państwo dzisiaj chcecie wyjść stąd z przesłaniem, z jedną rzeczą, którą możecie zrobić dla przyrody, to przestańcie kupować torf i pytajcie, czy zarządca może przestać kupować torf. Niech używa kompostu, którego tony produkujemy z odpadów. Wydobywanie torfu to są emisje. Torf to są płuca Ziemi, tam jest zmagazynowana ogromna ilość metanu i dwutlenku węgla. Wydobywając torf, uwalniamy te gazy i niszczymy środowisko. Nie możemy sobie na to pozwolić. Nie możemy z jednej strony dbać, by było ładnie, zielono i w tym celu dewastować środowisko gdzieś w Białorusi czy Ukrainie. To nie może tak wyglądać. Kompost jest prostym i tanim sposobem rozwiązania tego problemu i byłoby wspaniale, jakby i to zostało wpisane do standardów. Może Łódź będzie pierwszym miastem bez torfowego zarządzania zielenią?

Magdalena Gałkiewicz: Myślę, że to jest świetny moment na ten postulat, ponieważ będziemy niedługo przyjmować strategię zazieleniania. Odbędą się konsultacje. Ja sobie tutaj podczas całej rozmowy zapisuję postulaty, które będę się starała tam umieścić. Proszę trzymać kciuki.

Zofia Smolarska: W kontekście braku udziału dzieci i matek, czy szerzej rodziców, w planowaniu przestrzeni miejskich, w tym parków, bardzo polecam reportaż Moniki Pastuszko *Matka Polka sika w krzakach*. Monika zwraca w nim uwagę na bardzo uciążliwy dla matki z dzieckiem brak zwykłych ławek i publicznych toalet. Ostatnio badała też różnice między placami zabaw, na których dzieci mogą się i ubrudzić, ale i schłodzić, a takimi ze sztuczną nawierzchnią, która nagrzewa się do temperatury nieraz przewyższającej temperaturę powietrza. Dziecko wychodzi z nich wprawdzie czystsze, ale nierzadko przegrzane, a przez to poirytowane.

Monika Pastuszko, „Matka Polka sika w krzakach”, Warszawa: Agora, 2024.
Do posłuchania: [Matka Polka sika w krzakach](#),

Janusz Adam Biedrzycki: Ja chciałem zadać pytanie, co ja jako szarak miejski, mogę zrobić, żeby w mieście było bardziej zielono?

Kinga Zinowiec-Cieplik: Już dużo robisz, spotkaliśmy się, rozmawiamy. To jest, moim zdaniem, bardzo cenne, bo od dyskusji się zaczyna. Państwo to nagrywacie, więc ta rozmowa będzie miała dalsze życie. Jest z nami koleżanka, która pójdzie do urzędu i powie: basta! Koniec z torfem! To są małe kroki, bo to jest pytanie o budowanie społeczeństwa obywatelskiego. My to społeczeństwo już budujemy i idzie nam raz lepiej, raz gorzej. Działacze, aktywiści wkurzają urzędników. Drapią,



zrzedzą, przeszkadzają, ale w końcu trafiają do urzędów jako ich pracownicy, i to jest pozytywne. Pamiętam, jak w Warszawie kilka lat temu był pierwszy napływ aktywistów do urzędu, to starsi koledzy, architekci mówili „co oni tam wiedzą”. Okazało się, że wiedzą sporo i ta trudna współpraca idzie całkiem nieźle. Aktywiści zaczynają mieć obie perspektywy. To jest pozytywne doświadczenie, bo pojawia się próba przełożenia idei na język realizacji i zarządzania. Dla mnie jest to rewelacja i cieszę się, że wachlarz praktyk sięga od krytykowania i chodzenia z transparentem przez konsultacje i rozmowy po zarządzanie, realizację i walkę z procedurami. Oczywiście musimy patrzeć urzędowi na rękę, to jest nasze obywatelskie prawo do kontroli.

Zofia Smolarska: To, co każda i każdy z nas może zrobić, to zagłosować na cenne proekologiczne projekty w budżecie obywatelskim. Tylko jak świadomie podejmować takie decyzje, jeśli mamy do wyboru 10 nowych placów zabaw, ule miejskie i nowe nasadzenia? Do tego propozycje często są opisane bardzo zdawkowo. W jaki sposób Wy dokonujecie wyborów, głosując w budżetach obywatelskich?

Marcin Gawroński: Ja głosuję głównie na projekty rowerowe, bo jestem rowerzystą, ale na zieleni też. Kieruję się opiniami. Sprawdzam, czy projekty zostały w ogóle zaopiniowane i przez kogo, czy projekt uzyskał opinię pozytywną, czy negatywną. To jest jakiś wskaźnik, że ktoś to wziął na warsztat trochę bardziej poważnie. Biorę pod uwagę też tak zwane viability, czyli realne szanse projektu na to, żeby wygrać i być wdrożonym, żeby to nie był głos na rzeczy odrealnione.

Zofia Smolarska: To na co zwracać uwagę, głosując na ścieżki rowerowe? Ścieżka ścieżce nierówna. W Warszawie widziałam ścieżki, które kończyły się nagle w połowie albo na wjeździe do bloku. Dochodzi też temat nawierzchni. Czy kwestie ekologii mają w tej sprawie jakieś znaczenie?

Marcin Gawroński: Nie wiem, czy w projektach do budżetu obywatelskiego podaje się takie szczegóły, jak jakość nawierzchni. Wydaje mi się, że jeśli ktoś złoży projekt, to on na późniejszym etapie jest przepisywany, żeby był zgodny ze standardami. Jest poddawany konsultacjom i wiem, że w temacie ścieżek grupy rowerowe są bardzo aktywne w konsultacjach, dają swoje uwagi i jakość ścieżek, które powstają teraz, jest coraz lepsza. A te odcinki donikąd chyba trzeba po prostu zaakceptować. Coś się z czymś połączy dopiero w przyszłości, bo prace wykonuje się etapowo.

Magdalena Gałkiewicz: Tym sposobem wchodzimy w nowy wątek, czyli komunikacja miejska a ekologia, ale może zostanie na razie przy budżecie. Zdradzę trochę informacji od kuchni, bo w ogóle z budżetem obywatelskim jest tak, że my teraz strasznie idziemy na ilość. Moim zdaniem fetysz ilości projektów jest zgubny. W tym roku do budżetu obywatelskiego w Łodzi zostało zgłoszone ponad 1200 projektów. Proszę sobie teraz wyobrazić tę niedużą grupę urzędników, jednostki merytoryczne, które muszą wszystkie te projekty przeczytać i zaopiniować. Jak to zrobić dobrze przy takiej ilości?

Kolejny krok – komisja budżetu obywatelskiego, w której ja pracuję, też musi te projekty zaopiniować. Mamy na to około 5 posiedzeń, czyli 250 projektów do zaopiniowania na jedno posiedzenie. Jak to zrobić dokładnie? To jest po prostu nierealne. Wydaje mi się, że to jest pierwszy problem budżetu obywatelskiego. Mamy bardzo dużo byle jakich projektów, które są realne, można je wykonać, ale nie są to projekty wnoszące nową jakość. Na tym jednak polega obywatelskość budżetu – skoro ktoś złożył, a mieszkańcy zgłoszą, trzeba będzie to wykonać. Często wygrywają projekty szkodliwe. Na przykład na osiedlu, gdzie ja mieszkam, na środku parku został wylany kloc betonowy do unihokeja. Zostały wycięte drzewa. To jest kolejny problem budżetu obywatelskiego. Chcąc odpowiedzieć wreszcie na pytanie, na jakie projekty ja zwracam uwagę – na pewno na takie, które mało ingerują w przyrodę, czyli starają się jak najbardziej zachować jej jakość, oraz na projekty utrzymaniowe dla przyrody. To wynika z mojej wiedzy, jak bardzo ciężko jest uzyskać środki dodatkowe na utrzymanie zieleni. Nawet jak pozyskujemy środki europejskie czy ministerialne, to są zawsze środki na inwestycje, na nowe projekty, nigdy na utrzymanie. Pieniądze na utrzymanie trzeba znaleźć w budżecie, a budżet jest ograniczony. Ja oczywiście będę się starała, żeby fundusz na utrzymanie był zwiększony. Niemniej środków brakuje. Dodam jeszcze ciekawostkę – w Łodzi ruszy dodatkowy budżet, ekobudżet obywatelski. To będzie dodatkowa pula środków przeznaczonych tylko i wyłącznie na zielone projekty. Oczywiście ogólnego łódzkiego budżetu obywatelskiego, zielone projekty nie znikają, po prostu znalazły się dodatkowe środki. Z drugiej strony, trzeba się zastanowić, bo bardzo często w budżecie wygrywają projekty dosadzania w pasach drogowych kolejnych drzew, o których wiadomo, że uschną. Pytanie, czy tędy droga? Tym sposobem wracamy do punktu wyjścia, czyli świadomości, edukacji, wiedzy i rozumienia, jakie są potrzeby i jakie są problemy przyrody.

Kinga Zinowiec-Cieplik: To jest bardzo trudne pytanie, ale z grubsza potwierdzę to, co powiedziała moja przedmówczyni. Często słyszę od urzędników o zmaganiach z dziwnymi sytuacjami w budżecie. Dla mnie jest niepojęte, że nie można powiedzieć zgłaszającym, że ich projekt jest do niczego. Jeżeli tyle projektów wpływa, to znaczy, że ludzie się tym interesują, chcą mieć siłę sprawczą – idea jest rewelacyjna. Natomiast przysłowiowy Kowalski nie rozumie w ogóle mechanizmów formalno-prawnych, które rządzą urzędem i realizacją. Jako projektantka miałam zrealizować projekt, który przeszedł. Pan, który wnioskował, opłuł mnie straszliwie, na szczęście nie publicznie, tylko telefonicznie, że śmiałam zaprojektować tak drogie drążki do podciągania się. Odpowiedziałem panu, że wzięłam najtańsze z możliwych, ale one nie mogą być z dowolnego sklepu sportowego, tylko muszą mieć certyfikat zgodności z normą bezpieczeństwa itd. Postulowałabym, żeby ludzie, którzy chcą zgłaszać wnioski, mieli dużo większe wsparcie ze strony urzędu – jakiś rodzaj edukacji na temat procedur. W Warszawie był bardzo obśmiany przykład, gdzie zrobiono pół ścieżki, bo na tyle starczyło pieniędzy, więc ludzie nie byli w stanie się minąć. Idea była taka, że za rok urząd będzie miał na to pieniądze i dorobi drugie pół – słabe. Ale skoro wpływa tysiąc wniosków, to potrzebna jest ekipa, która to przerobi. Nie można tego wrzucać jako dodatkowy obowiązek urzędnikom. To jest kwestia krótkiej kody.



Magdalena Gałkiewicz: Dodam jeszcze jedno słowo – ponieważ w budżecie obywatelskim mamy teraz bardzo dużo projektów zielonych, to Zarząd Zieleni Miejskiej w pewnym momencie jest wyłączony z wszelkich innych prac, tylko zajmuje się opiniowaniem projektów, a pozostałe zadania po prostu czekają.

Kasper Jakubowski: Ja mam problem z odpowiedzią na to pytanie wprost, bo ja głosuję w budżecie sołeckim, a to troszeczkę inaczej działa. Natomiast pomagam społecznościom w przygotowaniu koncepcji do budżetu obywatelskiego. Ja to robię tylko pod kątem mikro-lasów. Jeśli jakiejś społeczności podoba się ta idea, chcą posadzić na zdegradowanym terenie taki las, to my im wtedy podpowiadamy, jak to zrobić z głową. W mojej podkrakowskiej gminie w ramach budżetu sołeckiego było wykończenie kolejnych dwóch etapów stacji natura, czyli pojawiły się ławki, barierki drewniane do zabezpieczenia skarpy. Pojawił się drewniany pomost obserwacyjny i pogłębienie zbiornika wodnego. Stawiam na projekty renaturyzacyjne, czyli odbetonowanie brzegu rzeki lub zbiornika wodnego i posadzenia rodzimej roślinności. Ale zwracam uwagę na aspekt społeczny tych projektów, żeby tam było zejście dla człowieka, który będzie mógł to zobaczyć.

Magdalena Gałkiewicz: Takich projektów renaturyzacyjnych chyba niestety ciągle jest bardzo mało. Dominują wciąż projekty polegające na posadzeniu kolejnych drzewek z Holandii niestety. Głos z sali: A propos projektów budżetu obywatelskiego. Ostatnio na ulicy Rzemieślniczej na Rudzie zrobiono zbiornik retencyjny. Tam niedaleko przepływa rzeka Rutka, a zabudowa jest bardzo blisko rzeki. Problem zalewania istniał tam od zawsze, ponieważ po silnych opadach woda nie miała ujścia. Rzeka wylewała i często zalewała pobliskie domy. Zdecydowano więc o stworzeniu zbiornika retencyjnego. Drugi przykład – głosowałam na kolejny etap rozbudowy i rewitalizacji Stawów Stefańskiego, ponieważ mieszkam niedaleko i zawsze bałam się tam chodzić. Po pierwsze było tam bardzo niebezpiecznie, a po drugie woda była bardzo zanieczyszczona – mnóstwo alg, sinic, wszelkiej maści pierwotniaków i bakterii. W wyniku działań projektu obywatelskiego bardzo się polepszyło. Wielu moich znajomych z Rudy Pabianickiej mówi, że głosuje tak, żeby lokalnie coś zrobić. Ważne są dla mnie także projekty infrastrukturalne dla seniorów. Czyli ekologia, ale z uwagą na seniorów, bo mamy ich coraz więcej.



Małgorzata Jabłońska: Wrócę jeszcze na moment do wspomnianych działań edukacyjnych. Pomyślałam, że otwiera się tu ważna przestrzeń do edukowania ludzi, którzy przeprowadzają się poza centrum miasta, do własnego domu z ogrodem. Te ogrody to też jest pas zieleni wokół miasta, który pozostaje pod władaniem prywatnych właścicieli i często jest koszony do wimbledońskiego trawnika, ze szkodą dla sąsiada i przyrody. Ja siłą rzeczy myślę trochę Krakowem, ponieważ krakowski tak zwany obwarzanek jest problematyczny, ale wydaje mi się, że w kontekście tych informacji o szkodliwości torfu i nie ekologiczności sadzonek z Holandii jest tutaj chyba ważna przestrzeń dla edukacji, że można inaczej pomyśleć trawnik pod domem, niekoniecznie trawa z rolki. Chcę wrzucić jeszcze jeden temat, odnosząc się do omawianych wcześniej zielonych dachów. Moje pytanie brzmi – zielone dachy czy panele fotowoltaiczne? Co lepsze w mieście?

Kinga Zinowiec-Cieplik: Odpowiem w podobnym tonie. Robi się dachy, które są zielone i na których stoją panele. To się da łączyć. Tylko rzeczywiście trzeba odpowiedzieć na pytanie, ile miejsca mamy na zieleni? Jeżeli mamy łatkę pół metra na pół metra, to lepiej nie robić, bo to nie będzie funkcjonowało i będzie raczej podchodziło pod green washing. Natomiast jeżeli jest duża powierzchnia dachu, to wtedy możemy robić nawet dachy bardziej intensywne, gdzie zieleni będzie spontaniczna. Ona oczywiście nie może zaciemniać paneli. Dla mnie w takich inwestycjach inna rzecz jest problemowa. Duży inwestor, jak ma policzone, że mu się opłaca, to on to robi. Natomiast inwestor Kowalski może sobie zrobić ten zielony dach droższy lub tańszy, ale fotowoltaika, to technologia, która szybko się zmienia – za rok będzie nowsza, dużo wydajniejsza. Staje więc pytanie, czy robić już, czy może poczekać rok. To jest taki aspekt, który ja bym wzięła pod uwagę. Bo jeżeli wydam kosmiczne pieniądze na początku inwestycji, a technologia i tak się zdewaluuje w krótkim czasie, to jest słaba perspektywa.

Kasper Jakubowski: Ja też jestem za tym, żeby nie było „albo, albo”, tylko „i to, i to”. Wydaje mi się, że można to połączyć nawet na jednym dachu, stosując ekstensywny, półpustynny system. Chodzi o to, żeby ta roślina nie była wyższa niż panel, żeby nie było kolizji, więc takie rozchodniki, jakie widzimy czasem na torach tramwajowych będą tutaj OK.

Zofia Smolarska: Bardzo dziękuję wszystkim obecnym za udział i uwagę. Zapraszamy na kolejne spotkanie z cyklu Ekologie Kultury za rok.

